

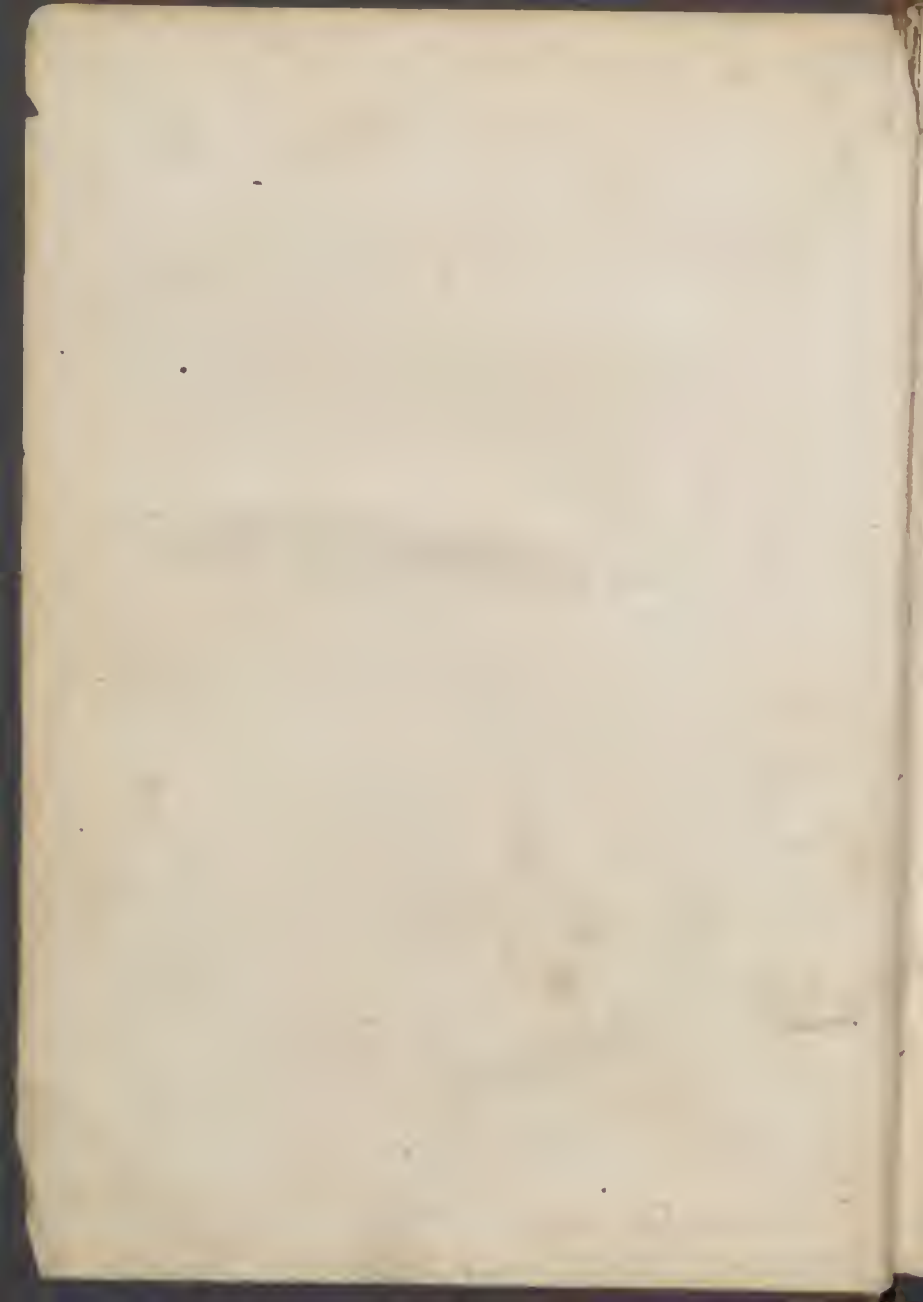


ZBIÓR POWIEŚCI .

J. L. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom ośmdziesiąty dziewiąty.



Stańczykowa Kronika.

Od roku 1503 do 1508.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

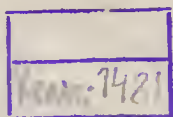
L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10

1875.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga

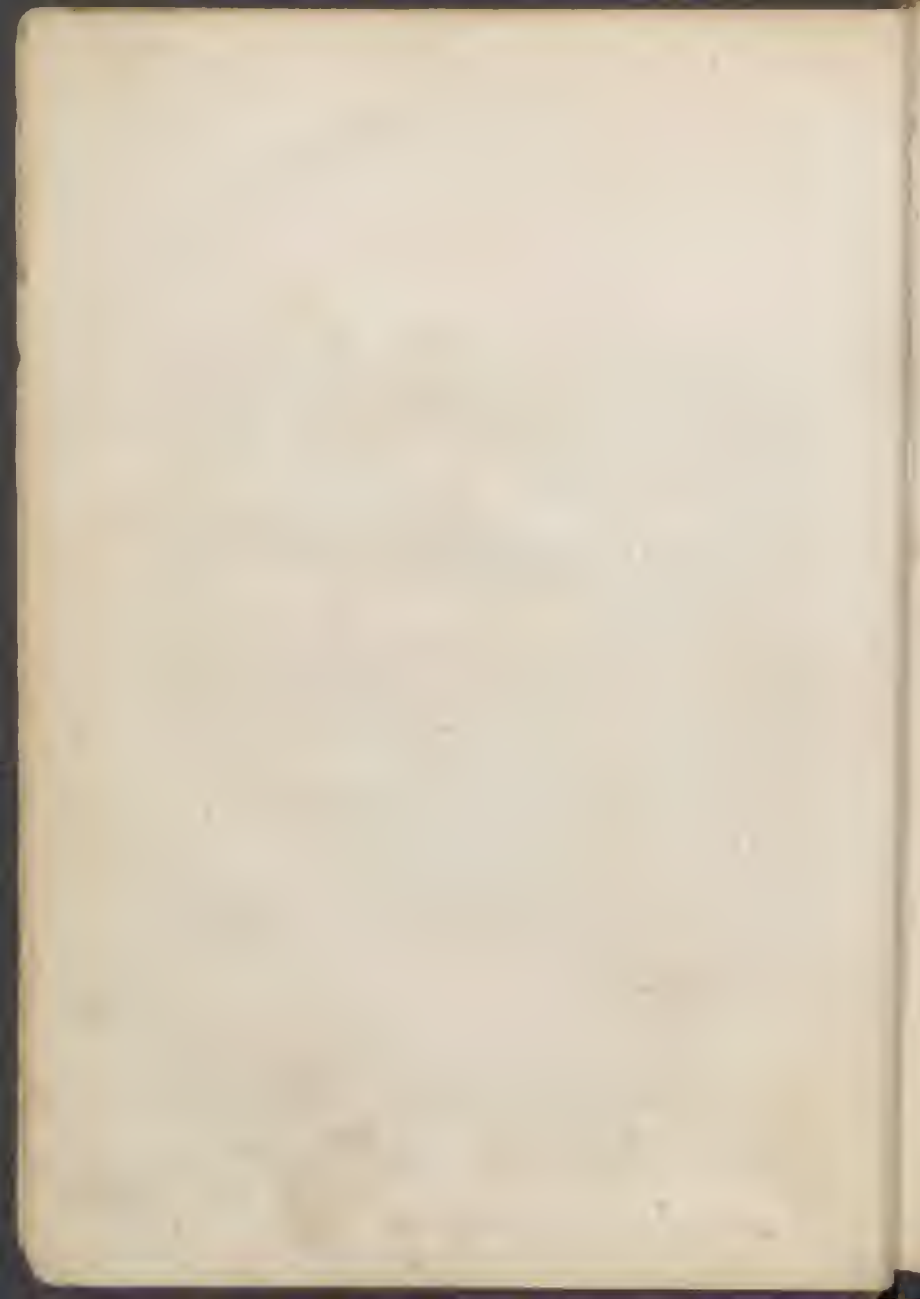


Nakładem Pillera i Gubrynowicza i Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

6 1 16

Nie można się dziwić artystom, którzy oryginalną postać Stańczyka pragnęli ożywić na nowo i odtworzyć — przeszłość mało nam pozostawiła po sobie równie pociągających i ponętnych. Szlachcic co się wyrzekł nazwiska, aby módz prawdę sieć i rzucać nią w oczy światu, dowcipny sędzia, — filozof w błazeńskiej szacie Stańczyk nadaje się dziwnie do powieści i dramatu. Próba kroniki była fantazją tylko, z wielu względów niewłaściwą — dla tego może wydana w r. 1841 w zbiorze Szkiców przez ś. p. Adama Zawadzkiego (pisana w 1840) kroniczka ta mniej znalazła czytelników, przenosząc w epokę przeszłości nie obudzając wielkiego zajęcia. — Okres ten 1503 do 1503 nie przedstawiał oprócz historii Glińskiego, nic żywiej obchodzącego. Sam Stańczyk, mało w nim występuje. Oprócz ślicznego, pełnego uczucia obrazu Matejki — nie zna y w literaturze odpowiedniego znaczeniu Stańczyka, utworu. Do wszystkich nieszczęśliwości jego żywota, i to przydać należy, że się imieniem tem posłużono w ostatnich czasach aby pod pozorem prawdy, wylać wiele żółci, na to co przynajmniej milczeniem uczcić się godziło. choćby się współczuciem nie mogło.

Drezno, 1874.



Osiemdziesiąty prawie rok żywota nędznego na tym świecie dopędzam; czwartego oto króla na tronie widzę, a co ludzi i wypadków przezemnie przeszło, policzyć trudno. Niewesoła starość przyszła, po bardzo wesołym na oko życiu, które nie jedno w środku jadło cierpienie, jak robak toczy owoc, rumiany po wierzchu. Jużem ja niezdatny nawet przed królmi błaznować, jako to dawniej niegdy bywało, za starego Zygmunta, ba za Aleksandra jeszcze. A zmieniły się dobrze i i czasy i ludzie, zmienił się i Stańczyk. Dobrze, że na starość nie wypędzą ze dworu, jako czynią z drażnikami kiedy im sił zabraknie, dźwigać kosze; podziękować trzeba za kątek spokojny i suknią przystojną, boć to wszystko łaskawy chleb, nie inaczej. A dobrze to gdzieś powiedziano, że gdy się twarz pańska od ciebie odwróci, to z nią wszyscy pierzchną w inną stronę. Miłościwy pan Stańczykowych gadek, jak nieboszczyk ojciec nie słucha, trudno z językiem w pole, kiedy uszu nie dają; albo, co gorsza, sarkają na mizernie słówko, byle się z ust wymknęło. Co Stańczykowi począć? — siedzieć za piecem i ciepłe piwko popijać póki jeszcze zapiecka i kufia stanie, a z torbą i kijem nie wyprawia. Nudno to prawda człeku, przywyknąwszy do ludzi, zostać pustelnikiem wśród zgiełku i zaprzec się samego siebie, ale co począć? łbem muru nie przebijesz. A toć może i dosyć na świecie błaznować. Służyło się długo, niezdatnyś, pójdź precz.

I gdzie się podziało i w co się obróciło, tyle lat życia, tyle siły, tyle znoju? Poszło to, jak Bóg przykazał, by dym z wiatrem w pole, nie złapiesz, nie złapiesz! A przypomniawszy teraz, gorzko w sercu,

boć inni ludzie życie kończą, jak owi ewangeliczni wyrobnicy, co po zapłatę przychodzą i biorą ją gdy słonko zajdzie; a ja głupi, jaką wziąłem zapłatę? com zebrał? co po mnie zostanie? — Stara opończa, kij uszata czapka z dzwonkiem i niepoczcziwe wspomnienie. Położą mi na grobie (i to mi się należy marnotrawcy), położą mi napis:

— Tu leży Stańczyk, który życie zaszył w czapkę błazeńską!

A kto by się był tego spodział, za młodych lat, że taka starość przyjdzie? Trzeba się było spodziewać; ale cudze za lasem, a swego nie widzimy pod nosem. Prorokował ja nie raz, nie dwa, panu Zygmuntowi i pani Izabelli, przepowiadał teraźniejszemu Królowi Jęgomosci, a sobie nie przepowiedział jak mi się skończy. Niedobry za się koniec, nie było go co zdaleka wyzywać — tamci co mnie lubili, poszli na drugi świat; zostałem się z młodszymi, którym starego Stańczyka zarty nie do smaku. Bóg że z wami, byleście mi dali kąt i kawałek chleba, mało stoje o łaski, nie wróćcie mi życia, reszta fraszka.

A jak przyszły długie dni, z którymi niewiedzieć co począć, bo ich nie sprzespać, ani na rynku przehulać, to jeszcze wzięwszy pióro w rękę, siadę pisać swoją Kronikę. Pisać wszyscy kroniki, prałaci, biskupi, ziemianie, ba i mnichy po celach, co niewiele świata widzą, a tylko im kiedyż tedyż, dójdzie połamana gadka do uszu; lepiej ci ja potrafię com spędził kilkadziesiąt lat na dworze trzech Królów, a czegom własnymi oczyma nie widział, (mało tego było) tom od świadków, i od samych zaczynców słyszał. Dobrze mi za się wszystko w głowie uwięzło, bo mi ci innego nie czynił, anim wojował, anim się uczył, anim urzędu sprawował, tylkom cudze sprawy uważał i szydził z nich a błaznował. Toć, począwszy od Aleksandrowych czasów, po dzień dzisiejszy, nie mało wody ubiegło i ludzi się przewróciło i wojen przeszło i głupstwa poczyniło; będzie o czem pisać. A za się, nie mi po wojnach i owych sprawach wielkich, które drudzy wpi-

sują w kroniki swoje, albo którego tam dnia i godziny urodziła się córka królowi, a którego roku i miesiąca umarła; toć to owe mnichy a prałaci szeroko rozpiszą. Mnie się dostało, jakom za żywota na ludzi patrzył, tak ich teraz opisywać. Powiedzą iście Stańczykowa Kronika, jak Stańczykowe życie, a prawie blażeńska; rzekę im, Miłościwi Panowie, wasze Kroniki też, jako wasze życie, wiele w nich hałasu a gadania, rzeczy za się mało. Boć, Waszmość napiszecie tam, jako którego dnia, godziny, minuty, ten się urodził, albo umarł, ale nie napiszecie jako żył. Jeden z was z bojaźni, drugi dla pochlebstwa, prawdę ominie. Napiszecie za się o wojnie, jako tam wiele ludzi padło, jako ten dowodził, jako zwyciężył. I tu daj Boże, aby całą prawdę; ale coś o tem wątpię. Toć w waszych Kronikach, wojny tylko, a urodziny i śmierci stoją; a życia za się niema żadnego. Zapisujecie choroby, a nie zapisujecie zdrowia, boć wojna choroba to kraju, jako inny ból, pojedynczego człowieka. A całeż by to było życie, gdy kto opisał tylko urodzenie, choroby i śmierć? O, iście nie całe jeszcze. Tak to i wy czynicie co Kroniki naszych czasów piszecie; rok po roku zbierając tylko cudowiska i wielkie wypadki, zapominacie o pospolitem życiu, którego przecie więcej niż czego innego. I nie same wielkie wypadki, ciekawe, ciekawsze małe, bo z nich rodzą się jako z jaja, owe większe; a wy też zapominacie o skorupie, gdy wam kura gdaka, co z niego wyszła. Toć niesłuszna. I jeszcze jedno; uważałem jako w Kronikach waszych sami tylko wielcy tego świata miejsce mają; a kedyż ono o małych będzie, boć ich daleko więcej, a i oni żyli, toć i oni Kroniki swoje dla przyszłego wieku mieć powinni? Wzruszycie ramionami, a rzekniecie: — Owo znów stary Stańczyk błaznuje. — Tać, wam się wszystko blażeństwem wydaje, kromie tego, co istnem jest; prawcie swoje, a mnie mego dozwólcie, boć wilk zającowi wymawiać niema, że on ścierwa nie je, kiedy mu ono nie smakuje.

Pocznę tedy; a naprzód jakem się urodził i jako się na dwór nieboszczyka pana Aleksandra dostałem, który mnie po śmierci swej, ze psy i sokołami bratu Zygmunтови zostawił. Boć nie wiele więcej po nim mienia dostał. Nie powiem wam nazwiska uczciwych rodziców moich, którzy byli rycerskiego stanu i poczciwej sławy a urodzenia ludzie, abym snąć nie pokalał innych krewnych moich, którzy tegoż imienia i herbu dotąd zażywają. Zaparli się oni mnie i dobrze uczynili, bom się ja sam swego stanu zaparł, wzięwszy dzwonki miasto pałasza, a szachowaną suknię miasto zbroi, i poszedłszy wojować z głupstwem ludzkim, com miał z nieprzyjaciółmi naszymi. Rodzic mój, Panie mu daj pokój wieczny, miał kawałek ziemi niedaleko Krakowa, spokojnie na nim siedział a gospodarzył odbywszy nie jedną wyprawę, boć młodym jeszcze będąc, chodził z Władysławem Warneńczykiem na Turka, a potem już letni, był jeszcze na Bukowinie. Jednego on tylko mnie miał syna, a urodziłem mu się z drugiego małżeństwa, gdy już był nie młody, i pono potomka przestał się spodziewać. Było to roku pańskiego 1484; w miesiącu marcu, trzeciego dnia, jak później na okładce książki ojcowskiej czytałem. — Cóż o młodych lecjach rzec? były one jako wszystkich młodych ze swawoli i szczęścia uszyte, pieszczoty otoczone, wesole; życie się zaczyna bez mała każdemu, jak słońko wschodzi najczęściej — pogodą; — potem za się o południu. przychodzą chmury, a nad wieczór burza. Aleć tu, skoro chmury nadeszły, bo rodzic mój nie wiedzieć czemu mnie nie lubił, choćem u niego był jedynakiem, ale mnie nie pieścił i nie psował, jako pospolite niesie przysłowie, owszem surowy był z dzieckiem do zhytku. Nie pamiętam aby kiedy na kolana mnie wziął, uściśnął, i czemkolwiek serce ojcowskie ku mnie ukazał. Macierz za to miła, istnie jedynaka we mnie pieściła i lubowała się w dziecku. Tak ci z jednej strony surowość bez miary, z drugiej miłość bez pomiarkowania, kołysały mnie w dzieciństwie. I rosłem nic dobrego, próżniak, urwis i łotr jakich

mało do swawoli tylko a figlów prędkie, do pracy niezdała, postrzegłszy to ojciec, surowości podwoił, a matka za się przywiązania. Jęły się ztąd właśnie między rodzicami; biedną matkę moją obił raz ojciec po pijanu, aż z tego zachorawszy i kilka miesięcy przeleżawszy, umarła. Może gdyby ona była żyła, inaczej bym ja poszedł na świat, ale stało się i już się nie odstanie. Po śmierci matki ojciec ku mnie srogości podwoił, ja rozpusty; a rosnąc coraz mniej się bałem i przemyślniej broiłem sobie. Bywało dnie całe latam po polach, po lasach z chłopcami, zasiadamy na drogach, straszym podróżnych, łapiem z paszy konie i hulamy. Powrócę do domu, ojciec wybije, poskrobie się i zasną; zamknę, to wydrapię się strzechą; nazajutrz znowu bije, a ja swoje. Aż ojcu najadło mnie sieć bez ustanku i oddał do Krakowa do szkoły przy tumie, gdzie było wiele szlacheckich chłopiat, co ich tam czytać i śpiewać uczyli. Tu się w najlepsze poczęła swawola, bo było kogo sobie towarzyszem dobrać. Mało my się tam uczyli, więcej nas do posług księcia wikariusze używali, ba i dziady kościelne wyręczali się nami nie raz. Ale za to było kiedy i poswawolić, tośmy też sobie po póty pozwalali. A miałem naówczas lat z piętnaście, bo to było około 1499 ostatniego roku tamtego wieku, a za panowania u nas Olbrachtowego, jako to możesz znaleźć w onych kronikach, o których mówiłem wyżej.

Nie to jeszcze na wsi swawola, z chłopięty biednemi, w mieście to dopiero, wyuczyłem się sztuk różnych. A choć mnie wszyscy i siłą i zręcznością przenosili, żaden mi wcale w dowiepie nie sprostał. Z tego też, oni silni, oni zręczni, którym brakło rady w najunniejszej rzeczy, mnie słabego, com ich nie raz z biedy wywiódł, słuchali. I najstarszy między niemi na oko, rej wodziłem w istocie. A tu pono czas powiedzieć, jako mi się już młodemu świat począł wydawać. Boć są co go biorą, jego i sprawy ludzkie, jako rzecz smutną, są co głęboko nad niemi myślą i tajemnic jakichś dociekają; mnie za się od razu świat i życie wydali

się, (ba i teraz nie inaczej) trefną tylko igraszka, zabaweczką dziecinną. I tak nawet najświętsze rzeczy, którym inni pokłony bili, a szyję przed niemi zginali, dla mnie były trzęsidłem dziecinnem. Śmiałem się z wojny, śmiałem się z wesela, ze straszego nawet księdza scholastyka który nad nami miał przełożęństwo. A bili mnie, tom się śmiał jeszcze myśląc: ból przejdzie, ubiją w śmierć, to tyle tego, nie będę cierpieć. Ztąd mi się wzięła pogarda wszystkiego sroga a niezwyčajna w onym wieku dziecinnym, lekceważenie przyszłości i ludzi. A com winien, że mnie Bóg takim stworzył? poczęto mnie nawet w szkole z tego znać, starsi się dziwili, aż powiedziałwszy sobie, że mi rozumu spelnia brak, porzucili. Aleć pojmowałem ja wszystko jako oni, a nie brakło mi nic, dzięki Bogu, tylko onego zamięłowania życia, a uszanowania dla świata które oni mieli.

Ojciec za się oddawszy do szkoły, ani się prawie dowiedział, co się z jego dzieckiem działo. Bywał nieraz w Krakowie, mało nie co tygodnia, ale stawał w gospodzie na przedmieściu, a do mnie i nie zachodził. Widząc tę obojętność własnego rodzica drudzy, obojętniejsi jeszcze jeli być dla mnie i poniewierać jako w najlepsze. Alem im oddawał pogardę z lichwą, szydząc z nich tysiącznemi sposoby. A mimowolnie serce jakoś krwią zachodziło, że mi zimno było na świecie, i nikt mnie nie kochał; ja nikogo nie mogłem. Starsi i rówieśnicy poniewierali mną, jam się mścił za poniewierkę szyderstwy, których wszyscy słuchali, by rodzonego jego brata tykały; ale zacząłem czuć pustkę w życiu nie małą i żądać innego. Nie było go przeznaczono dla mnie; musiałem iść wybitą drogą. A choćem się śmiał i szydził jako wprzód, były momenta, żem snowo o sobie i o onym otaczającym swiatu myślał. Zawszeć wszelako zdawał mi się świat smieszny, zły, brzydki i na jedną chyba igraszke stworzony. Ale co wprzód sam tylko śmiech w nim widziałem, to teraz zło postrzegłem. Tylkoć i wszystko zło, głupstwem mi się wydawało, boć i tak jest; a

niema złego, coby w jakim głupstwie początku nie brało.

Rosłem tedy rozpasany na wszystką swawolę, nie hamowany a podżegany, szumiąc po ulicach Krakowa.

Tymczasem umarł i król Olbracht w Toruniu, 1501 kto wie z czego, bo ludzie o tem różnie prawili, a Kroniki piszą iż z apopleksij, jako i jego własny medyk Miechowita ręczy. Mało go pomnę, ale ludzie gadali, że był mężny i czytać lubił a sługi swe hojnie nagradzał, tylko nad miarę czasem jako młody pustował a ucztował. Po jego śmierci, Aleksander z wojskiem podszedłszy a puściwszy głosy z Litwy, że się miał dobijać, gdyby mu nie dano korony, osiadł na królestwie; wjechałszy do Krakowa, jako pomnę w tysiącu czterechset koni, bojąc się przenagabiania Władysławowego. Alć wszystko poszło spokojnie, a moje życie jako wprzód się wlekło. Tylko że już znało mnie całe prawie miasto, z onych trefnych żartów i błaznowania mego, a iżem stawał przed szkołą, upatrując przechodniów, żeby z nich szydzić i psoty im wyrządzać, nazwano mnie było Stańczykiem, a to imię mi zostało po dziś dzień i drugiego nie mam.

Jeszcze tak wszystko jedno czas płynął, bo mnie ojciec ze szkoły nie odbierał, choćem był wyrósł na chłopca dobrego; a mnie nie bardzo chciało się wracać do domu, bom był skosztował rodzicielskiej miłości.

W lat dwa pono, po Olbrachtowej śmierci, 1503 trafił mi się on wypadek, z którego i całe życie poszło. Żył w Krakowie na on czas, brat królewski Fryderyk kardynał, arcybiskup Gnieźnieński, najmożniejszy i najpotężniejszy (gdyby był jeno chciał nim być) po królu. Ale jemu to nie było w głowie. Zrobili go mnichem mimowoli, za młodu, kiedy się nie postrzegł że mu nie być księdzem; potem za się nie czas się było wracać; a i duchownego chleba nie chciało się rzucać bo go było podostatkiem. Pan to był postawy wielkiej, oblicza miłego, ale całe nie mniszego, raczej do szabli stworzony, a tu go zakapturzyli nie w porę. Lubił się bawić i trefnych gadek słuchać, żeby go kto bez ustanku

śmieszyl; bo skoro go kto nie zabawił, wpadał w srogą melancholją.

Jednego czasu, było to, jakem rzekł, po śmierci Olbrachtowej, stałem ja zwyczajem swoim, podle wrót szkolnych, patrząc w ulicę, na ten światek, com z niego szydzić lubił; a mierzchało się i wieczór padał — spojrzę, wali się tłum jakiś ku szkole. Pieszko idą, śpiewają wesole piosnki, śmiejąc się na całe gardło, inni podskakują, a w kobiecem ubraniu przodem sunie się jakaś poczwara. Tylkom spójrzał poznałem co to jest, bośmy wszyscy widzieli: zabawy królewica Fryderyka, jako je lubił szumne a wesole; przypatrzę się lepiej onej kobiecie co przodem się sunie, a to kardynałski trefniś przebrany i widać mu z pod fartuchów, szachowany strój, a z pod czółka żółte wąsy sterczą. No, pomyślę, trafiliście na swego, ino mnie trefniś zaczepi, dam mu dobrą odprawę. I wysunąłem się umyślnie naprzód, aby mnie zobaczył; anim wątpił, że mnie musi zagabnąć.

Tak się i stało. Tylko się zrównał ze mną, aż on trefniś udający kobietę podchodzi prosto ku mnie. Ja patrzę czy blisko kardynał. A on kroczy tuż i za boki się trzyma od wielkiego wesela; ciągną się za nim różni, ze dworu jego. Podchodzi ów ku mnie w kobiecej sukni i poczyną swoje; wszyscy się zatrzymują, bo pewni, że śmiech złapią, a ja rad, że się popiszę. Po-
cznie on:

— Witaj mi pachole, nie chcesz-li pójść ze mną?

Stali wszyscy, bo myśleli, że pocznę uciekać, sromać się, albo bełkotać bez ładu, a tego im i trzeba było, a trefniśiowi najbardziej; ale niedoczekanie ich, wysunąłem się szparko do onej mniemanej niewiasty i pokłon jej oddając nizki zawołałem:

— Witaj Lucyperowa miłośnico, a kędyż to chcesz, żebym z tobą szedł, do piekła!

Trefniś wrzekomo osłupiał na tę odpowiedź, kardynał oparł się aż na jednym ze swoich śmiejąc do rozpuku, inni pokłaskiwali. Ale i onemu trefniśiowi

nie brak było oleju, widząc że trafił na swego, jął już z innej beczki.

— Zkądżeś to poznał, żem Lucyperowa żona? spytał. —

— Po szafranowych wąsach, odpowiedziałem. Nowy śmiech choć nie było z czego.

— A no dalej! zawołał kardynał.

— Jeślim ja żona najstarszego diabła, rzekł trefniś, toś ty pewnie chyba mój synaczek co go na mamkach ukradli, tak mi coś wyglądasz. Poznałam cię, bo jeszcze mleko masz pod nosem.

— Kiedy tak matuniu, odpowiedziałem, toś my blizcy krewni, chociaż się tego nie spodziewał; poznaj-że mnie z tymi djablami, którzy twój dwór składają?

Na tak śmiałe nazwanie, które i królewica dotykało, niektórzy, sam nawet trefniś, polekali się, ale ja inom spójrzał na kardynała, poznałem, że się nie rozgniewał i dalej swoje.

— Powiedz-no mi matuniu, rzekłem, kto to taki, co mu oczy w głowę powłaziły zupełnie, a język na wierzech wyjechał! i wskazałem na jednego dworaka.

— To, to — zamruczał trefniś i nie dokończył, bo błaznował tylko z temi, których się nie odbawiał, a bał się okrutnie wszystkich dworzan.

— No! cóż, nie powiesz? podchwycilem widząc! że kardynał śmiał się już z opilego dworzanina — Samaś poczęła, a już języka w gębę zapomniałaś? he?

— E! rzekłem po chwili, to ty tylko djabelską Jejmość udajesz! I porwę się do trefnisia, a zedrę mu czepiec z głowy, aż mu żółte kudły opadną na ramiona. On do mnie, ja w bok, a kardynał stojąc śmieje się do rozpuku. Tu dopiero pocznę go z onych kobiecych strojów odzierać. On się broni jak może, ale ani postrzeże się jak go, to tu, to tu szczypnę, a za każdą razą łachmana kawał obedrę, aż w chwilę został w szachowanej tylko błazeńskiej szacie, wołając abym mu dał przecie pokój.

— Toś ty trefniś, zawołałem na niego, gdym go

odartł cale, a no, poczekaj, będę cię pytał, czy ty umiesz swoje rzemiosło.

Kardynałowi wielce się podobała moja przytomność i śmiałość, nie tylko się nie pogniewał, ale jeszcze zachęcać się zdawał skinieniem. Mnie też nie trzeba było o to prosić. Poczną tedy pytać trefnisia, który przytomność tracił, coraz to gorzej.

— Co robisz kiedy się upijesz?

Zdobył się na odpowiedź przecie.

— Śpię.

— Toś głupi, odpowiedziałem, człowiek pijany najszczęśliwszy, a ty śpisz i we śnie grzebiesz szczęście. Tyle i życia co szau, śpij kiedyś trzeźwy. A to pierwszy raz łapię cię na złej odpowiedzi, teraz druga próba.

Kardynał klaskał z radości, tak mu się to podobało, dwór jego słuchał ciekawie, ja, coraz jeszcze śmielszy się robiłem.

— Wtóre pytanie, zawołałem, jaka kobieta najpocziwsza?

Trefniś się zamyślił, a potem wybąknął:

— Która mężowi wierna.

— Toś już cały głupiec, odpowiedziałem, nic nie wiesz. Cale przeciwnie — ta najpocziwsza, która męża zwodzi, bo mu zbrzydzi świat ten i tuteczne-marności, a wyprowadza go na drugi, gdzie cale lepiej, jak księża powiadają. A zatem daje mu trwałe za doczesne szczęście.

Śmiały mój argument rozweselił znowu kardynała i dwór jego.

— No, teraz trzecie pytanie, a jak na te nie odpowiesz, rzekłem do trefnisia, to ci zedrę twoje suknie, boś nie wart ich nosić.

Trefniś chciał precz, ja go za kołnierz zatrzymałem.

— Nie, nie ucieczesz, gadaj że i błaznuj kiedyś w błazeńską suknię obszył. — Otóż trzecia próba. — Jaki jest największy pan na świecie? spytałem.

— Osobliwsze pytanie, rzekł trefniś, ten który ma najwięcej złota!

— Tożes się zabił i dokończył, odpowiedziałem nie

puszczając go z ręką. — Największy pan, kto najmniej potrzebuje, bo mu tego dosyć co ma.

Kardynał pokiwał uśmiechając się głową, a ja do trefnisia i nuż go z jego szachowanej sukni odzierać. On w krzyk, kardynał w śmiech, wyciągnął ręce do pana prosząc, aby go bronili, ale wszyscy się śmieli. Ja też to widząc rozebrałem go zupełnie, wdziałem jego strój na się, a rzuciwszy mu moją łataną opończę, rzekłem:

— Nie wartes być błaznem, idź się uczyć do szkoły, a ja twoje miejsce zajmę. Królewicz pękał się ze śmiechu, porzuciliśmy trefnisia w ulicy, a sami poszli dalej. I o to jakim się dostał naprzód na dwór Jego Mości pana Fryderyka. Tu jeszcze trefniami żartami podobałem się bardziej mojemu panu i rozweselałem go z całych sił, tak, że w końcu kazał podskarbiemu swojemu wyliczyć mi kilkanaście florenów; ale ja nie przyjąłem i rzekłem:

— Jak mi Wasza Królewska Mość dasz co roku opończę, strawę, a czasem dobre słowo, to mi będzie tego dosyć, a będę mu wiernie służył. Kat mi po pieniadzach.

I tak stałem się sługą jego i trefnisiem, a ów dawny ani się więcej dla wstydu pokazał, dowiedziawszy się, że na prawdę miejsce jego zastąpił. — Smakowało mi to życie swobodne, wesołe, pełne wrzawy, pełne ludu, z którego się dowoli naśmiać było można; pomyślałem sobie, to to właśnie com się urodził, będę bezkarnie ze wszystkich szydził i nie myślał o jutrze, o kawałku chleba na który drudzy w pocie czoła pracują.

Ojciec mój, jak się tylko dowiedział co się ze mną stało, wpadł w gniew wielki i przysiągł, że jeśli mu się kiedy na oczy nawinę, swoją mnie ręką ubije, wyrzekł się mnie cale, całe mienie synowcowi zapisał i wkrótce potem zmarł. Po którym ja płakał trochę, a majątności ojcowskiej nie dochodziłem na stryjecznym bracie, choć mi tego drudzy bardzo doradzali, że miał łatwo z pomocą pańską dostąpić. Alem tego, jako żywo nie uczynił i zostałem trefnisiem jako przedtem,

ciesząc się swobodą, że nikt nie miał odtąd prawa i słowa pisać, na to com mógł czynić.

Rok prawie cały byłem w służbie królewiczowskiej (1503) gdy nagle wzięła go choroba, na którą co lekarzy sprowadzali, żaden nie poradził. W ostatniej tej słabości, com mógł czyniłem, aby go rozweselić, bo mi był dobrym panem, jako i dla nas wszystkich sług swoich. — Aliści dalej gdy choroba górę wzięła, obaliło go o łożę iż więcej nie powstał biedak. Chodzili lekarze próbując wszelkich leków, opłacano je drogo z za morza, a nie nie pomagały, królewicz za się do ostatka miał nadzieję, że wyzdrowieje, choć prawie konał; czuł w sobie siły jeszcze do żywota dłuższego i mógłby był żyć bo umarł trzydzieści pięć latni. — Był na on czas Aleksander król w Krakowie, który brata odwiedząc, widywał mnie u niego i nieraz mnie słychował; temu czując się bardzo źle, polecił mnie Fryderyk i wymógł słowo, że na dwór swój trefniem weźmie. Po śmierci kardynała, kazał mi Król do siebie, chętniem był posłuszny. Dano mi barwę trefnisia, strawę od królewskich dworzan stołu, bywały podarunki na kolendę i inne święta. Król Aleksander dobry to był pan i nadto podobno dobry dla wszystkich. Wodzili go wszyscy za nos, jako chcieli i kędy chcieli; ulubieńcom jego wszystko było wolno. Szczodry aż do zbytku, co miał rozdawał łatwo, nie patrząc jutra. Lubił też stroje wytworne, dwór świetny, uroczyste obchody, wspaniałość, muzykę, tłum koło siebie; a wszystko to drogo kosztowało. Łada oszukaniec co mu się przypiechlebić umiał, wyciągał ze skarbu ostatki. Do wojny nie zdatny, boć jej nawet pono nie próbował, ciągle jednak zagrożony był ze wszystkich stron wojną Sam Pan Bóg wie, jak się z tego niefortunnie wykręcał. Ale to zobaczysz gdy dalej lata jego, które z nim przebyłem, opiszę. Zaraz, gdym na dwór królewski przyszedł, jechaliśmy do Litwy 1504, potem znowu do Krakowa, gdzie przezimowawszy ciągnęliśmy do Prus, dla wzięcia przysięgi z nowego Mistra Fryderyka, ale ten wykręcając się od niej, przed nami ujechał.

Tymczasem poczęły się nie małe burdy w Litwie, które ciągnęły się jako zaraz ujrzenie, do śmierci Aleksandrowej, ba i za Zygmunta jeszcze, a tych była przyczyna pierwsza taka. Był na on czas w Litwie książ jeden rński Michał Gliński, przemożny, za się, wiele znaczący, odważny a zręczny i dochcipny. Ten ostatniemi czasy króla słabego był zupełnie opętał, iż nic bez niego nie czynił, a co on chciał tylko, rozkazywał. Panowie litewscy którzy byli rzymskiego wyznania nie-nawidzili go srodze, a dla jego przemożności i związków z ruskimi książkami i majątności wielkich, jakie miał na Rusi, podejrzewali go nawet, iż za życia jeszcze Aleksandrowego, budował sobie rusztowanie, po którym by się dostał na wielkie księstwo Litewskie. Najsroższym nieprzyjacielem księcia Glińskiego, był Zabrzeziński wojewoda Trocki, pan też możny, z którym byli pierwsi senatorowie Litewscy, wszyscy nieprzyjaciele główni Glińskiego. Poczęło się to pono między Glińskim a Zabrzezińskim, o marną rzecz, o miłośnicę jedną: a co potem ta zwada złego nam narobiła, toć już wszyscy wiedzą. I Gliński i Zabrzeziński mieli oko na jedną dziewczynę, którą oba równo mieć chcieli. Aleć czy to trafem, czy zręcznością, czy przywiązaniem, czy pieniędzmi, Zabrzeziński skłonił ją nareszcie ku sobie; tak iż przy nim pozostała. Tryumfował tedy bardzo i śmiał się z księcia, a kędy się jeno spotkali, nie obeszło się bez zwady; odgrażać się też jął Michał na wojewodę Trockiego, że mu głowę weźmie, a Zabrzeziński odpowiadał:

— Tak będziesz mieć głowę moją, jak masz mi-
łośnicę.

Szedł tak rok za rokiem. Tymczasem król dał starostwo Lidzkie Krzysztofowi Iliniczowi, związanemu z Zabrzezińskimi i innymi nieprzyjaciółmi Glińskiego, a książ Michał w porę się nie opatrywał, nie będąc u dworu, dawszy słowo swemu powinowatemu Andrzejowi Drozdowi, że dla niego u króla Starostwo wyjedna. Toż gdy ono na dwór przybył, a o liście danym na Lidę Iliniczowi dowiedział się, wpadł w gniew książ

Michał, i jako był zręczny, jął tak króla umawiać. prosić, przedstawiać różne potrzeby i okoliczności, że Aleksander, jako był miękkiego serca pan, począł się chwiać w swoim słowie a na one naleganie, już przyrzekł Lidę znowu Drozdowi oddać. Byłem ja pomnie w komnacie królewskiej, gdy książę Gliński, obsedował prośbami nieboszczyka, Aleksander milczał i pot z czoła ocierał, po chwili obrócił się do mnie i rzekł:

— Stańczyk, osądź ty tę sprawę.

— Na prawdę Najjaśniejszy Panie? spytałem.

— Na prawdę. co zrobić z prośbą ustawiczną kniazia Michała, wszak niepodobna mu odmówić?

— Hm! rzekłem, daj mu WK. Mość nie tylko Lidę, ale całą koronę i Litwę, kiedy tak pięknie prosi.

Król się uśmiechnął, ja wyszedłem, a nazajutrz książę jechał do Litwy, odbierać Starostwo, mając list dla swego powinowatego Drozda.

Ale nim Książę dojechał, już tam wiedzieli, co się świeciło i Iliniczowi donieśli, że go Gliński wyrzuci ze starostwa, bo ma drugi list królewski. Ilinicz też, pobieżał co najrychlej do panów Senatorów, a naprzód do Wojciecha Tabora Biskupa Wileńskiego, do wojewody Trockiego, starosty Żmujdzkiego, wojewody Połockiego Hlebowicza i Stanisława Piotrowicza Kiszki namiestnika Smoleńskiego. Jął im płaczem przekładać swoją krzywdę, potęgę szkodliwą Glińskiego, a narzeczcie polamanie praw, które był Aleksander Litwie poprzysiągł, gdy go wielkim książęciem sobie obrali. Toż tumult powstał wielki między pany senatorami, a najbardziej dowodził na króla Zabrzeziński, że przywileje któremi państwo stoi, z poduszczenia złego człowieka, łamać chce i rządzić tylko po swej woli, jako tego wprzód nie bywało to. Poszło po głowach senatorom, a najbardziej biskupowi, który był człek w wieku, poważny i sprawiedliwość miłujący. Zabrzeziński zaś z Iliniczem, jeśli im przedstawiać, jako oni są stróżami praw krajowych i łamać ich, dozwolić nie powinni, jako choćby książę Gliński wynożone listy królewskie przywiózł, tedy spełnić rozkazów przeciw prawu, dozwolić nie trza

i oprzeć się im bodaj siłą. Miał przyjaciół Ilinicz mocnych, jakoż choć to był krok zuchwały, uradzono dać pomoc w ludziach, aby go książ z Lidy nie wyparł. A tak, gdy Drozd z listy królewskimi obejmować Starostwo przybył, stanęli też z przywilejem oprzyjęzonym przez króla panowie senatorowie i niedopuszcili go. Król pod ten czas znajdował się jakoś w Krakowie, pospieszył nie mogąc nie uczynić książ Gliński, z żalobą na pany senatory i wielkimi na onych skargami, jako się buntują, jako przeciw majestatowi królewskiemu burzą, jako posłuszeństwa oprzyjęzonego nie dochowują i t. p.

Siedział książ Michał długo w Krakowie, a króla, którego znał, że na nim wszystko mógł, ugadywał. Aleksander też srodze był obrażony iż się woli jego oparto, a srożej jeszcze poduszczony od kniazia wziął to do serca. Szły więc rady za radami, co z Litwą począć. A książ ciągle powtarzał królowi, iż póty w niej pokoju nie będzie, dopóki wszyscy oni buntownicy gardła nie dadzą. Król też słaby nie opierał się, ktemu i gniew go był opanował.

— Pojadę do Litwy, mówił i ukarzę ich wszystkich.

— Zła rada, odpowiedział Gliński sam to słyszałem, bo się mnie nie strzeżono wcale.

— A cóż począć?

— Co? szepnął książ, co? zwołać sejm do Brześcia, zjechać z pocztom polskich panów i szlachty, która z Litwą zawsze drze koty i Litwinów nienawidzi; tu panów senatorów sprosić do zamku, a zamknąwszy, osądzić i pościnać, będzie spokój i posłuszeństwo.

Rada ta podobala się królowi, nic nie rzekł, namyślał się, Gliński za się, dopóty ją powtarzał ciągle, aż nią tak nabił głowę królowi, iż ją przyjąć musiał. Zaczem posłano, zwołując sejm do Brześcia, jako to i po kronikach (1505) najdziesz na dzień jedenasty stycznia.

A tu nieco jeszcze dawniejszych rzeczy napomknąć musze. Było jakieśmy rzekli wyżej, dwa stronnictwa pod on czas w Litwie, jedno Rusinów, na którego czele

stała królowa Jej Mość Helena, ruskiego rodu pani, nie małych przymiotów, a nadewszystko subtelnego dowcipu, że wszystko co chciała robiła, choć wrzкомо władzy nie miała żadnej; pomagał jej książ Gliński, jako wiara z nią zjednoczony. Drugie stronnictwo było polskie; katolickie, Wojciecha Tabora, Zabrzezińskich, Kiszki. Oba one wpływały na umysł króla z kolei wprzód, był czas nawet takiej przewagi biskupa, że królowę prawie gwałtem nawrócić chciał, a król na to oczy zamykał, choć to mu wojną groziło; był czas, że biskup przybrawszy sobie księży bernardynów, obsedował królowę bez ustanku w oczach królewskich, a Aleksander milczał; ale potem inaczej rzeczy poszły, gdy z Glińskim jego strona górę wzięła. A tuż napomnę, że kniazia Michajła nienawidzili Polacy, jedno trzymając z Litwą, że on dąży do posiadzenia Litewskiego księstwa i oderwania go od Polski; przetoż wszyscy byli z biskupem i Zabrzezińskimi, a skoro postrzegli, że się coś na onym sejmie knuje, dali co najrychlej znać Panom Senatorom. A tymczasem książ Michał ciągle poszeptując królowi, wyprawił się najprzód do Brześcia dla opatrzenia zamku który tam jest na wyspie prawie oblanej Muchawcem i Bugiem; czyli był jego zamiarom przydatny.

Znalazł jako chciał, a wcześniej przekupiwszy dowódcze zamku, który był Rusin jak i on, pospieszył nazad przeciw królowi, który już na sejm jechał saniami. kędy i ja na jego dworze byłem. Przybyliśmy zmrokiem do Brześcia we czwartek dnia jedenastego stycznia. Z królem byli senatorowie Polscy, którzy już o zamiarach wiedzieli i postanowili niedopuścić, aby do domierzenia tak haniebnej kary przyszło; między innymi mądry Jan Łaski kanclerz i spowiednik kanonik Krakowski Jan *)

Pierwszego dnia, cicho było, tylko co się panowie zjeżdżali, król zaś znaku po sobie żadnego gniewu nie dawał, a książ Michał przystępniejszy był i ludzki

*) Z Oświęcima.

więcej niż kiedykolwiek. Król z całym dworem stał na zamku, książę Gliński miał kwaterę podle w murowanym dworku, Senatorowie za się polscy nie odstępowali boku królewskiego, mianowicie zaś kanclerz i kanonik Jan. We dnie książę kilka razy chodził do króla i znowu szeroko mu przekładał, jako w Litwie panem nie będzie, póki tych wichrzycieli nie zgładzi, jako pora po temu, bo się niczego nie spodziewają i zawołani na zamek wejdą. Skoro zaś przybędą wrota przywrzeć, most spuścić, sądzić ich i tegoż dnia poćcinać radził. Nawet, pewien swego, przygotował był na drugim podwrocu rusztowania i kała sprowadził, którego przebranego wodził z sobą. Król też słuchając go, a coraz bardziej jątrząc się, gdy mu opowiadał Gliński, jako tam Zabrzezińscy z biskupem na niego głosy podnosili, jako grozili, jako się buntowali; do wszystkiego dawał ręce.

Aleć tu jeszcze Pan Bóg bronił owych Litewskich senatorów, od pewnej zagłady; bo kanclerz Łaski widząc króla w tym gniewie, a nie śmiejąc go hamować, naradziwszy się z księdzem Janem spowiednikiem, gdy już mierzchno onego dnia pierwszego, udał się w miasto, kędy byli gospodarzami stanęli panowie senatorowie litewscy.

Jakby przeczuwał książę Michał napotkawszy kanclerza, który na koń siadał, spytał go:

— A dokąd to miłościwy panie?

— Jadę się pomodlić, odpowiedział kanclerz, do św. Ducha, aby mię natchnął co mam radzić a co odradzać.

Książę się rozśmiał.

— Wiecie wy i tak panie kanclerzu co czynić macie — wiecie oddawna.

— Nie zawadzi wszakże modlitwa, rzekł Łaski i wam ją kniaziu radzę.

— Modłę się co dzień, odpowiedział Gliński dumnie, ale Bogu jednemu z modlitw rachunek winienem.

Poczem rozeszli się, a Łaski ruszył w miasto, książę do króla, tu gdy się naradzają o jutrzejszych sprawach, kanclerz tymczasem psuje wszystko. Wiedzieli pano-

wie Litewscy przybywając do Brześcia, że nie mile będą od króla przyjęci, ale zaiste nie spodziewali się takiego traktamentu, jaki im książę gotował.

Ja, że mię nikt nie strzegł, a bawić króla nie czas było, bo go książę Michał trzymał od poranka do nocy, biorąc mu w uszy oną zagładą panów senatorów Litewskich; udałem się cichaczem za kanclerzem. Z jednym tylko poufałym jechał sługą i prosto udał się do klasztoru, gdzie Zabrzeziński, Ilinicz i biskup Tabor gospodą stanęli. Byłem prawie świadkiem jego przybycia i rozmowy, więc sumiennie to mogę wszystko opowiedzieć.

Nim jeszcze kanclerz przybył, już pewni szpiegowie donieśli panom senatorom, że król na nich srożej jest rozgniewany niżeli się spodziewać mogli, a płazem im owego oparcia się woli jego w liście Drozdowi danym wyrażonej, nie puści. Przerażeni tem zebrali się byli wszyscy, aby o sobie myśleć i radzić i tu ich zastał mało nie cały senat, posłaniec królewski, który jutrzejszego dnia rano na zamek zapraszał. Aliście ledwo on odjechał, a oni radzić poczęli, wszedł i kanclerz Łaski.

Pospieszył go witać stary biskup Tabor, poczem gdy usiedli milczenie nastąpiło, a on tylko w około się obejmował, opatrując pilnie z kimby był.

Przejrzawszy tak, iż nikogo podejrzanego nie znajdowało się w komnacie, przybliżył się do biskupa.

— Nie tajno wam, rzekł, zagniewanie królewskie.

— Doszły nas o tem wieści, odpowiedział biskup, aleć mamy nadzieję go przebłagać, bo jeśli jest wina z naszej strony, to jest wina i z drugiej. Król Jegomość dał starostwo Lidzkie....

— Wiem wszystko, rzekł kanclerz, ale jako nie chwale postępu W.M. którzyście inaczej temu zapobiedz mogli; tak wymawiam króla JMości, co się dał uwieść obsesjom księcia Glińskiego. Cóż teraz poczniecie?

— Co pocniemy? pochwyił wojewoda Trocki porywając się z miejsc i ze stoła chwytając zwój pargami-

nowy, pójdziem z tem, pójdziem pytać Aleksandra, gdzież są jego przysięgi a nasze prawa?

— A dalej? spytał kanclerz.

— Dalej ustąpić aż go przekonamy, iż on sam był przyczyną wszystkiego, żeśmy nic nie winni. Myśmy nie pogwałcili prawa, ale ochronili go od pogwałcenia. Znamy króla, dobry to pan ale zbyt łatwy, dziś go opanowali nieprzyjaciele nasi, jutro może się dać przekonać.

— Więc WM. rzekł kanclerz powolnie zawsze nie wyobrażacie sobie do jakiego stopnia król JM. zażalony, rozjątrzony jest na Litwę! Dajcie pokój wszystkiemu, myślcie tylko o sobie.

Spojrżeli na się Litwini i umilkli.

— Jak to, zawołał po chwili Kiszka, a cóż nam grozić może?

— Wszystko najgorsze — rzekł kanclerz, ostrzegam WM. z tem tu przybyłem, abym braterską dał radę. Nim przyjdzie do tłumaczeń, pilnujcie WM. abyście cali z Brześcia do domu wrócili.

— My!! zawołało kilka głosów i wszyscy powstałi poruszeni, tylko biskup Tabor jeden siedział na pozór spokojny.

— Sumienie kazało mi was ostrzedz rzekł kanclerz, jako braci, jako uczciwych stróżów całości praw i sumienia królewskiego. Wiecie WM. o wpływie kniazia i o nieprzyjaźni jego dla siebie, nie domyślacie się jednak, do czego ta nieprzyjaźń doszła i jakie knowanie przeciw wam się gotuje. Musiał tu być posłaniec królewski, który WM. oznajmił, iżbyście jutro zrana byli na zamku.

— I gotowiśmy tam! rzekł biskup i tam i wszędzie, ani się będziem bać oblicza królewskiego, bo się spodziewamy że nas wysłucha; a dość nam będzie aby tylko wysłuchać chciał.

Kanclerz wzruszył lekko ramionami i mówił dalej:

— Po czasie to wszystko moi panowie a bracia, myślicie powtarzam o sobie, jakobyście cali z Brześcia wyjechali. Wiecież co was jutro czeka na zamku?

— Więzienie może! odpowiedział biskup.

— Co? więzienie! nas! krzyknął Zabrzeziński, nas!
• ważyli by się!

— Gdybyż tylko więzienie — rzekł kanclerz.

— Gorszego, więc cóż?! przerwał Ilinicz chwytając się za głowę, bo on się czuł najwinniejszym jako pierwsza przyczyna wszystkiego.

— Słuchajcie, mówił kanclerz, ledwie wejdziecie, zamkną się drzwi za wami, uwięzieni, jutro będziecie sądzeni, sędzią waszym będzie starosta Uciański kniaź Michał, a na podwórku czeka już rusztowanie, topory i kat!

Na te słowa niepodobna opisać, jaki rozruch powstał w komnacie, jak wszyscy nawet biskup poruszył się, jakie były krzyki, jakie oburzenie, jaki przestрах i zamieszanie. Każda twarz w inny sposób wyrażała uczucia przerażenia, oburzenia, strachu i odwagi. Ilinicz zbladł i pochwycił się za stół; Zabrzeziński zecerwiecił i porwał za szablę, Kiszka stał jak przebity, biskupa usta drżały, oczy pały ale nie ze strachu pewnie. Nigdy on się w życiu nie ulął, a głęboka wiara dodawała mu niepojętej odwagi, jakiej nigdy nie widziałem w kim innym. Nie wiem czyby był równie mężny w boju, ale tam gdzie starzy żołnierze pierchali od oblicza zagniewanego, on naprzód występował, zawsze pewny zwycięstwa i zawsze zwycięzca.

Po chwili milczenia, taki się wszczął tumult i zamieszanie, taki gwar pomieszanych głosów, że nic w nich zrozumieć nie było można. Nareszcie uspokoili się nieco senatorowie i zebrawszy u stoła, jeli radzić.

— Niema tu co radzić, rzekł po chwili Jan Łaski, gniewu królewskiego na teraz nie odwrócicie, myślcie tylko jakobyście głowy swoje całe ztąd wynieśli. Na to zaś innej rady niema nad tę, abyście jutro na zamek nie szli.

Byli temu niektórzy przeciwni, a mianowicie biskup, który pewien skutku swej mowy, chciał pójść króla odwozić od przedsięwziętej zemsty za przewodztwem kniazia Michała. Tegoż zdania był śmiały do zbytku Zabrzeziński i Kiszka, którzy utrzymywali, iż być

nie może, aby tak srogi a bezprzykładny sąd miał być na Senatory. Łacno jednak przekonał ich kanclerz, że tu wojować mało się na co zdało, bo i nie z królem słabym, ale z kniaziem Michałem była wojna, a ten nie patrząc przyszłości na wszystko się ważył, byle zemście swej dogodził.

— Idźcież zresztą WMość kiedy tego chcecie, rzekł Kanclerz, ale krew wasza nie na moją głowę spadnie, bom was jako poczeiwość kazała, przestrzegł, a więcej może uczynilem przez miłość braterską, niżbym był powinien, i naraziłem siebie.

Tu dopiero jęli roztrząsać chłodno panowie Senatorowie rzecz jak była, i uznali, że nazajutrz niebezpieczna była iść im do zamku, a dać się brać jako w polapce. W mieście za się pilnując bezpieczeństwa swego porozstawiali liczne poczty i strażę przy gospodach, dawszy też niemało ludzi do klasztoru, którzy u furty jakby obozem legli. Kanclerz powrócił na zamek i nie widział już króla, kniaź Michał godziną wprzód odjechał na swe mieszkanie. Całą oną noc w mieście kędy senatorowie gospody swe mieli, trwał ruch niezmierny, porozpalano ognie w ulicach, rozstawiono ludzi, nikt oka nie zmrużył.

Jako świt, jeszcze mostu nie spuszczone, a już Gliński kręcił się koło zamku i przebywszy fosę po kładce, czynił przygotowania w tylnym podwórzu na przyjęcie panów senatorów. Król też rano się zbudził i choć go niepokój gryzł, nic po sobie nie pokazywał. Wysłuchał bardzo jeszcze rano mszy świętej, którą prawił ksiądz Jan, poczem udał się do komnaty, kędy się wszyscy zgromadzić mieli. A była już godzina po temu, nikogo jednak. Posłano dworzany po panów senatorów, ale wrócili z odpowiedzią niezrozumiałą. Czekał król jeszcze, nadszedł kniaź niespokojny też i tu nowa rada. Gdy upłynęła jeszcze niespełna godzina, a senatorowie nie przybywali, domyślił się król i kniaź, że im ktoś doniósł, co ich czekało. Tu dopiero srogi był gniew kniazia, który mało nie oszalał, że mu się nie udalo, jako był tak mądro ułożył, aby ich wszyst-

kich w jedną matnię zająwszy, podusić. Rzucał się, jadł, kłał, nie szanując nawet przytomnej osoby królewskiej, odgrażając się srodze a okropnie na kanclerza, którego podejrzewał, że o wszystkim doniósł senatorom.

W tem wszedł kanclerz.

Rzucił się ku niemu książę, zapalony gniewem, czerwony, a króla tą swoją zajądłością poduszczający z wymówkami.

— Toć to jest wierność wasza, krzyknął, to to przywiązanie do pana! Wy to, wy wydaliście i zgubili wszystko, wy kanclerzu.

Jan Łaski jako był człek poważny, śmiały i postaci wielkiej a szlachetnej, tak się cofnął krok i zimno odpowiedział:

— Zgadliście kniaziu, jam oznajmił senatorom Litewskim.

Gliński zamilkł, ale krew o mało mu oczyma nie trysnęła.

— I śmiecie to wyznawać? dodał obracając się do króla.

— Dla czegoż nie! odpowiedział kanclerz, postąpiłem wedle mojego przekonania, i nie wstydzę się tego com popełnił, bom to uczynił dla zachowania spokojności, uniknienia krwi rozlewu, którego by król J. Mość sam potem żałował. Ocaliłem senatorów litewskich!

Aleksander król podbudzany, powstał też na Łaskiego z wymówkami, ale tu złączył się z kanclerzem Jan z Oświęcima spowiednik królewski i jeśli go silnie hamować, a przedstawiać, jako Glińskiego uknuty spisek zrodzić mógł nieprzewidziane zło dla obu krajów.

— On, rzekł kanclerz, wskazując księcia, słucha tylko podszeptów osobistej zemsty, nie patrzy jutra, byle się dziś krwią nasycił, W. k. Mości przystało jako mądrymu panu i swój i jego gniew pohamować, ponieważ tu Bogiem a prawdą, w początku sprawy słuszność mają pp. senatorowie. Na te słowa Aleksander się srożej jeszcze oburzył.

— Wy to śmiecie mówić, zawołał, panie kanclerzu, wy nieposłuszeństwo zowiecie słusnością, ja ich będę przepraszał! Nie przybyli na zamek znaleźć, ich gdzie indziej, ale nie daruję! nie daruję!

Gliński napawał się temi słowy; Łaski potrzasał głową. Jan z Oświęcimia zbliżył się do króla.

— Nie mówię tu do W. K. Mości, — rzekł, ani jako obrońca senatorów, ani jako sędzia w tej sprawie, lecz tylko jako stróż sumienia W. K. Mości, jako jego najbliższy doradca. Każe mi mój stan i moje miejsce, przedłożyć W. K. Mości, iż jeśli w kim, w królach piękne jest miłosierdzie, a konieczną sprawiedliwość. Chłodno tę sprawę rozebrać, tych którzy nieprzyjaciół tam mają nie słuchać.

— A ty, zawołał książę, ty tam masz przyjaciół i dla tego to prawisz.

— Nie dla przyjaciół, ale dla dopełnienia obowiązku mówię to, odpowiedział książę pokornie, ty książu ani tego pojmiesz nawet, pozwól mi mówić, tyś już dość królowi doradzał.

Gliński nie zważał na to i przerwał:

— Nie przyszli do zamku, zebrać polskie wojsko i zagnać ich tu gwałtem.

— Zwołać do mnie dowódców, zawołał król widocznie uderzony tą myślą.

Gliński ruszył się do drzwi, kanclerz mu od nich zastąpił.

— Jeśli W. K. Mość trwasz w swoim postanowieniu, rzekł stanowczo, my wszyscy cośmy tu z Polski przybyli, rycerstwo i senatorowie, nie chcemy być świadkami tak szkodliwego na przyszłość kroku, w tejże chwili zwoluję Polaków i odjeżdżamy do Krakowa.

— Co to jest? i wy? zawołał król.

— Nie chcę i nie mogę być świadkiem tego, cóż dopiero spółnikiem, byłoby to rozerwaniem unji, zgubą dla obu krajów; jeśli się rycerstwo polskie ruszy krokiem, stu lat może mało będzie, aby ten krok zamazać. Słowo tylko N. Panie, a ja w tejże chwili wracam do Krakowa.

Na te słowa, wymówione stanowczo i śmiało, król się widocznie zachwiał i załękł. Cała moc jego była w orszaku licznym polskiej młodzieży, Litwy cokolwiek było, ta podejrzana, że sprzyjała partji biskupiej.

— Więc, rzekł król powolniej, nie będę mógł nawet winnych nieposłuszeństwa ukarać?

— Któż by śmiał prawa do tego W. K. Mości zaprzeczyć? podchwycił kanclerz, znajdziesz W. K. Mość winnymi niektórych, ukarż ich słusznie, aleć nie jak doradza kniaź, aby wszystkich jednego dnia oddać katowi, wczesnie rusztowanie postawiwszy i nagotowawszy im śmierć.

Na te słowa gdy król chwiać się poczynął, Gliński wybiegł zbladły okropnie z komnaty, a zwycięztwo zostało przy kanclerzu. Łatwo po tem do reszty króla przejednali Łaski i ksiądz Jan; niepodobna już za się tylko było wymódz, aby całe przebaczył. Zszedł dzień na radach i odradzaniach, panowie senatorowie zgromadzeni razem w mieście czekali co wypadnie, tymczasem Gliński znowu poskoczył do króla, aby choć największym swym nieprzyjaciółom zgotował zemstę. I dokazał swego, bo w parę dni potem, Ilinicza pochwycono w ulicy i dano do więzienia, w którym długo jęczał, a Zabrzezińskiemu król odebrał zaraz województwo Trockie i oddał je podczaszemu swemu nadwornemu, namiestnikowi Bielskiemu, Mikołajowi Mikołajewiczowi Radziwiłłowi. Panom senatorom zaś reszcie wcale nie przebaczywszy, zakazał się na oczy pokazywać. Rozjechali się tedy, a ztąd wielu sobie narobił po całej Litwie nieprzyjaciół Gliński, który jednak mało o to dbał, bo był bardzo sam sobą i związkami swemi silny.

Owoż pierwsza tego sejmku historia, której się później koniec opowie, bo daleko się jej ogon pociągnął; a była i druga całe inna już z carzykiem Tatar Zawońskich Szachem Achmetem, który był przyzwany jako sprzymierzeniec przeciw Tatarom Perekopskim, co się byli na nas zajędli, aliści opuszczony bez posiłków i prawie na mięsne jatki wydany, pobity na

głowę, utracił wszystko, a gdy do sprzymierzeńców swych udał się, to go jeszcze uwieziono. I siedział był w Wilnie pod strażą; a tu go na on sejm do Brześcia przywieść kazano dosyć przystojnie. Sam król cześć mu znaczną wyrządził, bo gdy się o nim dowiedział, spotykał go w pięci milach za miastem z wielkim pocztem panów koronnych i dworzan swych. Byłem tam i ja, w nowiusieńkiej sukni, szachowanej żółto a czarno, w czapce ze dzwonki uszatej, a kijmi, ze dworem swym też, to jest dwoma karły, którzy mi po kolana tylko dochodzili. Mówiłem ja królowi:

— Daj ci panie, takich jak mnie panów radnych, a łatwo się ich dawszy szcztuka w nos pozbędziesz; na co ci takie barczyste chłopcy!

Król śmiał się z żartu.

Owoż wracam jakeśmy wyjechali przeciwko Achmeta, w pole, kedy przygotowano sukna bardzo wiele, którym wysłano drogę i od tego miejsca, z kąd zsiadłszy z konia, Tatarzyn miał iść pieszo witać króla J. Mości. Dla króla rozbito namiot wielki niebieski w gwiazdy złociste; do koła którego konie i ludzie tabor nie mały a świetny formowali, bo tu król J. Mość szukał tylko okazji, dogodzenia sobie, a popisania się z przepychem i wspaniałością.

Przybył i Achmet w niewielkim Tatar poczcie, przyjął go król u namiotu, poprowadził wewnątrz i co się wielu dziwną zdało, po prawej ręce posadził. To jednak wszystko nie pohamowało dzikiego Tatarzyna, który chciał zaraz wymówki czynić królowi, bo mu srodze na sercu ciężył jego zupełny upadek, gdyż był i żonę postradał, która mu czasn onej wojny, do drugiego Carzyka uciekła. Ale mu przez tłumacza powiedziano, aby się z tem wstrzymał, że nie miejsce potemu było, a będzie mógł żale swe przedłożyć na sejmie. Zamilkł więc, nie bez widocznego gniewu. Król za się jako sobie z tego istną zabawkę czynił, tak tuż zaraz w owem namiocie, jął passować na rycerzy ze zwykłemi obrzędami, tak, że nawet kilku onych grubych a dzikich Tatar, którzy spełna nie rozumieli o co szło, rycerzami uczy-

nił, Patrzali się oni na to, jak na niepojęte jakieś ceremonje, ale dawali z sobą czynić co chciano, bo pamiętali iż byli w niewoli. Gdy przychodziło klękać przed królem, który mieczem uderzał, nie pojmwali Tatarzy, jaką to im cześć wyrządzano, jał się był nawet jeden Murza do noża, ale mu go w czas wydarto i uprowadzono go. A tak gdy się król nacieszył oną istną zabaweczką jechał razem z Achmetem do Brześcia, gdzie nowe bankiety mu sprawiał, których końca tylko niecierpliwie Carzyk wyglądał, aby mógł ze skargą na swoje nieszczęścia wystąpić. Odwiedziono go jakoż od tego obiecując czas potem w Radomiu na spólnym obu narodów sejmie, dokąd i król udać się miał i onego Tatarzyna ściągnął za sobą, jak istnego prawie błazna. Dla czego rzekł królowi na on czas w Brześciu:

— Czemu mnie N. Panie nie odprawisz? A on — Dla czego?

— Boć lepszego masz błazna, który ci się z za Wołgi, porzuciwszy państwo swe i skarby i żony, przybłąkał.

Król śmiał się z tego i dał mi pieniądz złoty, nie nie odpowiedziałwszy. Zwoławszy on sejm do Radomia na Wszystkich Świętych, król odjechał z Brześcia, a Carzyka odwiedziono było pod strażą do Nowego Miasta w Mazowszu, póki by się sejm począł.

I toć też był zjazd nie mały a wazny, on Radomski, gdzie byłem wszytkiego świadkiem, bo nań z dworem królewskim przybyłem, a błazeńskiej sukni winieniem com się wszytkiemu przypatrzył, bom za królem był wszędy i na stopniach tronu jego zawżdy miejsce moje było, z dwoma karły, którzy niby dwór Stańczykowy składali. Tu się owe ponowiły jeszcze z pany senatorami litewskimi w Brześciu i wprzódy poczęte historie, których król pono życiem przypłacił, jako się niżej wszytkiego dowiesz, byleś cierpliwie czytał.

Naprzód tedy rozpowiem jako tu sprowadzono Achmeta, który w wielkim poczie, a z wielkim żalem przybył wyrzucać na oczy Polakom i Litwie, jako go zgubili. Zaledwie go przypuszczono, kędy się wszyscy

na słuchanie jego zebrali, jał swoim językiem piskliwie wykrzykiwać, którą mowę jego jakiś Rusin tłumaczył. A była jeśli pomnę taka:

— Wezwaliście mnie, mówił, zdaleka w pomoc sobie, zawiedliście, jednego porzucili i na mięsne jatki wydali, od Carzyka Perekopskiego porażony, utraciłem skarby, wojsko, panowanie, a gdym do was jako do przyjaciół i sprzymierzeńców uciekł, toście bezwstydnie jako więźnia pod strażą osadzili, jak pojmańca w ciemnicę zamknęli. Bóg, zawołał podnosząc ręce do góry, który za dobre i złe płaci, mnie i króla waszego, gdy przed nim oba staniam, rozsądzi, nędzy mojej, strat a waszych pogwałconych przysiąg się pomści. Aleksandra zaś który słowa swego nie dotrzymał a one złamał haniebnie ukarze. Czegoż mnie trzymacie, dodał, co wam zawiniłem? puszczajcie mnie do swoich, jakim prawem zatrzymujecie mnie tu jeszcze?

Tak prawie skończył, a tu mu któryś z senatorów polskich odpowiedział: Iż ani na Boga, ani na króla skarżyć się niema w tem swojem nieszczęściu tylko sam na siebie, bo sam przyrzeczeń swych nie strzymał i nie jako sprzymierzeniec się zachował. Albowiem gdyś u Kijowa leżał, wojska twe w kraju naszym szkód nie mało poczyniły, prosili się Kijewscy mieszczenie i skazywano ci od nas, abyś pod Starodub ciągnął, aleś tego uczynić nie chciał, tam ci wzdy i bezpieczniej było od Mendli Giereja, który na gardło ci stał; uparłeś się za się stać i niszczyć Kijowskie włości, a teraz masz jakoś sobie posłał. Wiemy i to, żeś się do Turek był bez naszej wiedzy zwrócił, za czem, nie wiadomo, aleć pewno nie na dobro nasze.

Po onej odpowiedzi, którą mu ów Rusin przełożył, spuścił nosa Achmet obaczywszy, iż pono tu jeszcze sam winny się okaże, co innym winy dowodził. Zaczem już pokorniej począł, prosząc aby mu dozwolono było posłać brata jego do onych Nohajskich Tatar, wzywając ich ku pomocy, i zaklinając króla, aby mu też ku odzyskaniu utraconego państwa, w ludziach dał pomoc.

Odpowiedziano od króla, iż starać się będzie o to, byle

ludzi dosyć zebrał, a było na on czas w sejmowej izbie siła dworzan królewskich, duchownych, pacholąt i różnego ludu. Na których zaraz wskazując palcem on Tatarzyn rzekł:

— A tychże na co karmicie, jeśli do wojny są niezdatni?

Tu mu jeli tłumaczyć, jako u nas nie Orda, ano jedni do wojny, drudzy za się do rolęj, inni do służby Bożej, inni do rzemiosł, przeznaczeni, inni do opatrywania zamków i spraw sądowych. Wzruszył ramiony Tatarzyn i powtórzył znowu prośbę, aby mu brata wysłać dozwolono, czego nie zdało się chudzinie biednemu odmówić, a on pewien iż Tatarowie wszyscy się doń nawrócą, skoro czapkę jego tylko ujrzą, był już dobrej myśli i tuszył sobie najlepiej.

Były na on czas nie małe burdy w Polsce od szlachty która się była jako to i dawniej się zdarzało, na rozboje rzuciła i po drogach imając podróżne odzierała. A co najdziwniejsza, iż między onymi szalonymi znalazła się zbójczyni kobieta, jako tego pono przykładu nie bywało. Siła o niej prawili, jako dokazywała bardzo odważnie, jako kilka razy pojmana, wymknąć się potrafiła, nareszcie ją wzięto i jak była w skorznięch, z ostrogami a z mieczem, tak ją obieszono, zwała się ona Herod baba Rusinowską, a była młoda i niczego, powiadali drudzy, że się tak rozmyłowawszy w jakimś obwiesiu za nim w te życie puściła, a niewiadomo było, czyli nie w jednym z onych których onemi czasy za rozbójstwo ścięto, Osuchowskim albo Mysowskim. Ale dość o tem. Były i inne jeszcze sprawy na sejmie rozbiebane, których tu spominać nie będę, bo je pewnie oni kronikarze, co suche liście zbierają, zapiszą do słowa, a tam o nich dostatecznie znajdziesz.

Powracam do onego, o któremesmy mówili zajęcia Aleksandrowego na panów Litewskich, za poduszczeniem kniazia Michajła, srogiego ich nieprzyjaciela. Owoż chociaż się był król zaklął, aby mu na oczy nie stawiali, przybyli niektórzy do Radomia, a mianowicie nieustraszony Biskup Wileński Tabor, który się za-

bierał królowi w oczy prawdę mówić, co mu nie wszyscy zgoda chwalili. Inni za się szukali wstawienia się i wdania za sobą panów senatorów Polskich, aby król dał się przebłagać i na oczy ich przepuścić, a gniew swój niesłuszny darował im. Z czem też szli do kanclerza Łaskiego i innych, a ci im przyrzekli. Jakoż napadali króla chcąc go przejednać, wystawując jako to wszystkiego przyczyną był kniaź Michał i jak on dla osobistej zemsty tylko, na senatorów Litewskich jątrzył.

Ofuknął się z początku Aleksander na tę mowę, zakrzyczawszy iż nigdy nieposłuszeństwa nie przebaczy a na oczy ich widzieć nie chce, lecz gdy Łaski roztropnie a dowodnie jął wszystko wywodzić, pohamował się w gniewie, bo był dobrego serca pan i już nie tak srodze zdał się zagniewany. A gdy tuż słowa królewskiego domagano się, chcąc im się wymówić, począł odkładać rozpatrzenie sprawy a przebaczenie na przybycie swoje do Litwy.

Działo się to na wejściu do izby, kędy panowie senatorowie byli zgromadzeni, a przed królem właśnie drzwi otwarli komornicy. Aliści cofnął się Aleksander ujrzawszy mimo zakazu, siedzącego w senacie na swoim miejscu, sędziwego Biskupa Tabora. A gdy król się wahał, jął go znowu umawiać kanclerz Łaski iż wszedł, z oczyma srogimi na biskupa zwróconemi. Ale biskup tem się bynajmniej nie zmieszał, a odwagi nie stracił, bo gdy król ku niemu się zwrócił, powstał i pokłon uczyniwszy, chciał mówić. Posłał do niego król komorniki swe, aby z izby wyszedł.

— Miejsce tu jest moje, rzekł biskup i na marach mnie ztąd chyba wyniosą, zaczem ogromnym głosem do króla zawołał:

— Miłościwy królu, niewinnie gniew twój był na nas, za przyczyną i poduszczeniem złych ludzi, bośmy naprzeciw tobie, panu naszemu nie stali, ani się tobie przeciwiali, aleśmy bronili całości praw i przywilejów naszych, żebyśmy przy nich zostali. Ja zaś, jako litewskiego państwa, i twój jako wielkiego księdza,

a pana naszego pasterz, powinienem był i ciebie pana swego od tego odwodzić, abyś prawa nasze, listy swoje i przysięgę nam w całości zachował.

Tu Biskup podniósł głos jeszcze.

— A jeśliby chciał kto je łamać, zawołał, niech go Bóg ukarze!

Tylko co to wyrzekł, ujrzeliśmy jako twarz królewska srodze pobladła, jak się kłonić zaczął, pochylił i na ręce sług swoich upadł.

Niepodobna opisać jaki się tam stał rozruch w tej chwili, jaki przestach, zwołano doktory, król nagle paraliżem był rażony. Senatorowie wysuwali się przerażeni z izby, inni biegli do króla, inni po lekarzy, inni gotowali się przenieść Aleksandra do jego komnat. Biskup Tabor nie zdziwiony, ani pomieszany, powolnym krokiem, poważnie, wśród rozstępującego się przed nim tłumem, wyszedł także z izby.

Było nie mało takich, co go już świętym być mienili, a wszyscy srodze tym wypadkiem przerażeni zdawali się. Radzili niektórzy biskupowi, aby się co prędzej oddalił, unikając zemsty królewskiej, ale on odpowiadał:

— Co się ma stać, niech będzie, bez woli Bożej, włos z głowy nie upadnie.

Jakoż i nic mu się nie stało.

Król za się już dalej dla niemocy, nic poczynąć nie mogąc, paraliżem ruszony a chory ruszył się z nami do Krakowa. Przyszło jednak od strachu pomiarkowanie, bo jakoś łaskawszy na Litwę, oddał im Król Achmeta onego, aby go pod strażą do Trok wiedli.

Następnego roku 1506, gdy jakoś król za lekarstwem lepiej się mieć poczynił, objęły go, jako kara boża różne strapienia. A naprzód iż zacna pani Elżbieta, matka królewska umarła, którąśmy chowali w Krakowie. Na Litwę zaś wielkimi siłami jęli się walić Tatarowie, jako chmury albo szarańcza srośna. Onego zaś Achmeta w początku trzymano było przystojnie na Litwie w Trokach, gdzie też i Murzowie jego po leżach rozdzieleni, a prawie swobodni byli, gdyż się

był ślubować czekał przybycia królewskiego, ale słowa nie strzymał. Bo przybyli tam jacyś od Nogajskich Tatar posłowie do niego w dość licznym poczcie, z którymi miewał swobodne rozmowy, toż i na łowy z psami jeździli, a uganiai za zwierzem często, wracając przecie nazad, tak iż podejrzenia żadnego nie było, Aliści razu jednego jak się wszyscy zebrali Tatarowie jeli uciekać z Achmetem. Obaczył się w porę Olechno Monwidowicz Namiestnik Trocki, a dobrawszy dworzan królewskich puścił się w pogoń za Tatary, których doznał aż u Kijowa, powiązał, nazad odprowadził i pod srogą strażą osadził.

Achmet prawie z onego wstydu i gniewu zębami sznury swoje gryzł, a głową o mur tłukł, srodze swoich strażników łając, którzy mogli słuchać bezpiecznie, bo nie rozumieli co prawili, a byle chcieli, za błogosławieństwo to rozumieć sobie wolno im było. Jak się ono o tem Mendli Gerej Perekopski dowiedział przysłał posły swe do Litwy prosząc, aby nieprzyjaciela jego pilnie strzeżono, za co on wdzięczność obiecował, a przymierze i pomoc na razie. Uwierzono mu było, chociaż Achmet, srogim głosem wołał na ówczas: Pokarze was Bóg nim samym a prędko go tu zobaczycie. Co się i stało, bo następnego roku, jakom rzekł, zaleli okrutnie Tatarowie Litwę. Było ich tam kilka Carzyków, wszystko Mendli Gerejowi powinowaci, z jego ręki wysłani. Ci w dzień Wniebowzięcia przyszliz pod Słuck, kędy się była zamknęła księżna Anastazja z synkiem Jurgim Siemionowiczem. Dwór jej był całe pański a liczny, a zamek mocny dosyć, przetoż próżno Tatarowie ogień podkładali i szturmowali zajadle, gdzie ich wiele poległo bardzo. Jako tylko sroższe było niebezpieczeństwo, to księżna wychodziła do szlachty a bojarów swych z dziecięcim na rękę we wdowich szatach i czepcu, a stając w podwórcu, zaklinała ich, aby nie jej białogłowy, ale dziedzica jednego wielkiego rodu, bronili jako mogli. A tem dodawała serca, że się mężnie obraniali, gromiąc Tatar przeważnie. Drudzy też poszli pod Mińsko i tu ległszy

taborem, puścili się na wszystkie strony plondrować pod Wilno w Zawilejską stronę, pod Połock, Witebsk i Owruć na całą prawie Litwę. Słyszeli byli Tatarzy o panach litewskich w Nowogródku, iż liczne ich tam było zgromadzenie, bo się tu naradzali wszyscy; jako króla w gniewie jego przeblagać; ale skoro posłyszeli o Tatarach, umknęli za Niemen, Tatarzy za niemi srogie spustoszenie czyniąc, potem za się wrócili pod Nowogródek, którego nie dobyli, bo był tam Wojewodą Albrecht Gastold z Maskiewiczem Horodniczym, Tryzną, Niemirą i innymi którzy ich wycieczkami trapiąc, nie sobie nie dali uczynić. Ale tu już o tym dosyć, bo się tego naczytasz szeroko po kronikach.

My za się z królem w Krakowie byli, kiedy się to działo, a Aleksander ciągle był niemocen jeszcze, tak że też i chorego przywieźliśmy do Wilna, kędy znowu leżał, a na one Tatary ciągle plondrujące Litwę, rady dać nie mógł.

Gdyśmy przybyli do Wilna, kędy ono przeblaganie z pany litewskimi, wedle obietnicy Radomskiej być miało; zastaliśmy je puste i przelekłe. Nakazano murami miasto obwodzić, które dotąd rozsypane między góry bez obrony leżało, tylko nad niem zamek górny sterczał prawie nie dobyty, kędy była zbrojownia Aleksandrowa, a mieszkanie nasze w Krzywym Grodzie, pod zamkową górą. Tu większą część zamku zajmowała królowa Helena z ruskim swoim dworem, bo miała swych diaków i kucharzy i służebne wszystko z Moskwy. Dwór za się królewski szczupły był, albowiem mimo obietnicy przejednania, lękając się kniazia Michajła, który przy boku królewskim nienastannie jako Marszałek zostawał, a na swych nieprzyjaciół króla jątrzył, nikt ku nam nie przybywał. Biskup tylko, jako zawsze wielkiej myśli, przyjąwszy króla w Wilnie, którego Aleksander uważać i szanować począł, jął się krzątać około murów miejskich, jakby i mieszkańce i kościoły pańskie od zniszczenia ochronił. Za jego przewództwem, szło ono przedsięwzięcie prędko. Nie pomnę, aby kiedy tak pusto było na dworze królewskim

jako tego czasu, bo kromie kniazia Michajla, kanclerza Łaskiego i kilku innych z Polski, z Litwy nikogo nie było. Jednych bojaźń królewskiego gniewu, drugich nieprzyjaźnie i swary z kniazem, innych one Tatarskie napady oddaliły. Postrzegł się też i król, że serce stracili do niego, a choć nic nie mówił, srodze go to bolało i chorzał co raz gorzej a gorzej, gryząc się Tatarzy i swojemi Senatory. Już kniaz Michajło wyprawiał swoje sztuki, okazując wielką dla króla serdeczność a politowanie; toż nawodząc na oczy obojętność innych panów litewskich, jako go byli wszyscy opuścili. Król słaby to już całem sercem przylgnął do kniazia, a coraz bardziej mu wierzył. Spodobalo się tedy Glińskiemu narzekać na lekarze królewskie, jako go źle leczyli; na co że cierpiał Aleksander, łatwo przyzwalał. A z tego poszło iż kniaz jakiegoś tam matacza jął podsadzać i zalecać.

Cała to znowuż historia z onym lekarzem królewskim, z którym pono kniaz był w zmwowie. Bo wszyscy powiadali jako Gliński czyhał tylko a czatował jakby pochwycił Wielkie Księstwo po śmierci Aleksandrowej, przy Tatarskim najeździe i pomocy Ruskich swoich. Pora się nadawała, a tu król chociaż słaby żył jeszcze, czego kniazowi nie trzeba było. Takim tedy fortem, chciał go z świata zgladzić. Jął, jakeśnuy rzekli króla umawiać, aby po lekarza lepszego posłał, który się zwał Baliński, a mieszkał aż pod Ilkuszem, kedy się był ożenił z Palińską szlachcianką, bo wprzód się Grekiem pono Laskarysem zwał. Tam też w Balinie założył był on matacz rezydencją, chłopstwo się do niego tłumami cisnęło i po budach mieszkając zdrowia od niego czekało, które on leki dziwnemi i czary rozdawał, każąc sobie dobrze za wszystko płacić. Sława jego tak się już była rozeszła, że prawie odebrał chleb innym lekarzom krakowskim, którzy mu diabla życzyli bo go i do bogatszych wozili, do których inaczej nie pojechał, aż mu wprzód sto złotych czerwonnych na rękę wyliczono, zkąd go Setnikiem przez posmiewisko zwano.

Jak jał kniaź Michajło cnda o nim prawić, tak też króla opętał, że co prędzej wysłać za nim rozkazał. Pojechał dworzanin królewski a serdeczny kniazia, który też od niego tajemne pismo do Balińskiego zawiózł, a co w niem było, choć się domyślali, nikt przecie nie wie. On dworzanin, gdy do Balina przybył, zastał doktora otoczonego ludem wielkim, który mu naprzód przeczytawszy list a poblądłszy wielce, odpowiedział, że nie pójdzie, bo ma co czynić doma, a u króla lekarzy wiele być musi. Na co on dworzanin odpowiedział, że jeden tylko lekarz królewski z Błonia się znajdował, a ktemu kniaź Michajło usilnie prosił, aby koniecznie przybył. Jał się tedy Baliński tak i owak wykrecać, aż w końcu zapowiedział, że inaczej nie ruszy, chyba mu trzysta złotych czerwonych wyliczą. Spodziewano się już tego i on dworzanin miał z sobą pieniądze, a widząc upor jego, dał mu one żądane, poczem jał się już wybierać Baliński, chorych swoich Panu Bogu poleciwszy. Jechali tedy do Krakowa, gdzie bojąc się przenagabania od lekarzy tamtejszych w miasto nie wjechał Baliński, tylko czekał, aż królewską aptekę nadwieźli. A ztąd jechali prosto do Wilna.

Było to jakoś w lipcu i srogie gorąco pamiętam panowało, gdy jednego wieczora on wóz z apteką królewską i dworzanin z cudownym lekarzem przybyli. Zaraz tedy jał go pod rękę kniaź Michajło, i nie do króla ale w osobną komnatę zamkową powiódł.

W kilka lat potem, opowiadał mi komornik jeden królewskiego dworu, iż był rozmowy podsłuchał troche z ciekawości, ale spełna nie zrozumiał. Słyszał on, jak w samym początku o pismo swoje dopominał się Glin-ski, które odebrawszy spalił tuż w kominie. Potem szeptali z sobą więcej pół godziny, a lekarz miał mine jakby się czegoś wielce strachał, kniaź zaś dodawał mu odwagi. Nic to innego pewnie, tylko go namawiał na zbrodnię, aby króla, umyślnie leczać źle, na drugi świat odprawił.

Cały dwór królewski źle wróżył z tego lekarza, ale cóż, kiedy książę miał takie zachowanie, iż mało kto do króla zbliżyć się mógł bez jego wiedzy, a nikt nie śmiał i słowa przeciw marszałkowi powiedzieć, boby tyle jego było.

Po onej tajemnej w komnacie rozmowie wwiedziono Balińskiego, gdzie król chory leżał, który popatrzawszy trochę a ręki wzięwszy i nogi, dobrej myśli dodawać zaczął, mówiąc, iż jego lekarstwa dadzą temu rady i JMści na nogach postawią. Zaczem mocno prosił, aby sam tylko leczył, a lekarza mu nie dodawano, bo się jakoby lękał, aby mu z zazdrości nie popsuto. Na co król JM. przyzwolił, chociaż kanclerz Łaski, widząc, że się tu na niedore kroi, bardzo temu był przeciwny.

Tegoż dnia jął zaraz Baliński leki przyprawiać, jakby łaźnią dla króla, a posyłał za różnemi ziołami w lasy pod Werki i na Antokol, których pękami nanieśli. Toż komnatę osobną obrał, w której istną łaźnię uczynił. Była bo w zamku nie jedna, ale dwie łaźnie a jedna nadewszystko chędogą i kamieniem wykładana, którą jeszcze Witulł rozkazał uczynić dla swej wygody, bo lubił nadewszystko łaźni zażywać, ale w tej Baliński króla parzyć nie chciał i miał na oku słusność, bo do niej idąc od pokoi królewskich trzeba było podwórzec przebywać, coby choremu nie pomogło pewnie. Zrobiono tedy łaźnię w izbie bliskiej królewskiej sypialni. Nazajutrz gdy one zioła jakieś, których nikomu patrzeć nie dał matacz, ponakładał w różne kotliki a garnce, a z nich para srogiej mocy buchać zaczęła, zwleczono króla przy książęciu Michale z łoża i na ręku komornicy przenieśli do onej łaźni, w której i zdrowemu wydzierżec było trudno, cóż królowi choremu? Jak skoro króla duchy owe owionęły, tak zaraz mdleć począł i wołać, aby go precz niesiono, nie zważał jednak lekarz i trzymać kazał nagiego nad parą, aby się pocił, a dla otrzeźwienia różne mocne wina lał w usta, małmazją i korzenne. Byłem ci ja tam, kiedy oni srodzy katowie, pana swego niemiłosiernie męczyli. Jęczał król, bo się mimo okrutnego gorąca, pocić nie mógł, a wołał, że

się żywcem spali, bo mu już wyziewy wnętrzości piekły. Książ Michał wszystko króla cieszył, iż to zdrowie miało przywrócić, ale blady był i drżący, jako zbój gdy go na szubienicę wiodą. Kanclerz też Łaski stał u drzwi milczący, a kiedy król znowu począł wołać, aby go precz nieśli, jął przekładać, aby na pierwszy raz próby tej dość było. I coś poszepnął był książ Michał do Balińskiego, który króla odnieść i w cieple ukryć a małmazją poić rozkazał. A potem tegoż dnia na oczy swe widziałem, jako gdy Aleksander usnął nieco lepiej zrazu się czując, chodził książ poszeptując tajemnie z lekarzem i snuli się tak po zamkowym moście, potem znów po drugim podwórku, czas długi żywo rozmawiając. Królowa też Helena od łoża małżonka swego nie odstępowała, a łzami się zalewała, widząc go tak bardzo chorym. I baczę, nie tyle może po małżonku miłym, którego mało знаła, płakała, jak raczej nad sobą, bo doświadczyła nienawiści ku sobie panów litewskich i ciężki los, który ją czekał wdową, przewidywała łatwo.

Na drugi dzień też sama łażnia ale mocniejsza jeszcze, a winem co najwytrawniejszem pojono go, od czego z sił zaraz opadł i mieć się gorzej a gorzej widocznie począł. Na trzeci dzień jeszcze toż samo, aż ci omdlonego króla wyniesiono. Widząc go zdala (bo do osoby nie przypuszczano z woli księcia) a słysząc owszem lekarz królewski srodze się trapił i pobiegł do kanclerza zalecając, aby, chcąc mieć króla przy życiu, onego matacza a zdrajcę precz odpędzili. Poszedł z refleksją kanclerz do księcia, przedstawując, że na zgubę to oczywiście Baliński czyni, aby mu dalej leczyć nie dopuszczono, ale książ jak był dumny i gwałtowny, tak się wielce rozjadł na pana kanclerza.

— Ja tu go przywiodłem — zawołał — ja za niego i za zdrowie pańskie gardłem odpowiadam.

— Baczysz-że sam WM., że król codzień to gorzej od tych leków.

— Nie nam o tem sądzić przez cę do zdrowia, le-

karz ten doprowadzi K. J. Mość, a ja wiem, że bieglejszy jest od waszych wszystkich i sławę ma wielką.

Jeszcze się tam spierali z godzinę, ale kanclerz czekając co dalej będzie, nastąpił. Aż tu nazajutrz nowa łaźnia, a gorsze jeszcze omdlenia i całkowite opadnięcie z sił tak widoczne, żeby je był ostatni głupiec poznał, iż do zdrowia prowadzić nie mogło. Biegł tedy znowu lekarz królewski do kanclerza, prosząc i zaklinając, aby króla od pewnej zguby ratowano. A tu już kanclerz sam oczyma swemi ujrzawszy jak było, nie pytając więcej kniazia, tamże do łaźni swoich Polaków dworzan królewskich wprowadziwszy, Balińskiego wziąć i związać rozkazał, a króla na łóżce odnieść i lekarzowi zwyczajnemu polecił.

Kiedy go imać miano, załakł się Baliński i pobladł, a belkotać niezrozumiale zaczął.

— Biercież WM. nie muie jednego.

Na te słowa wpadł rozjuszony kniaź Michajło i Baliński umilkł, a on ujrzawszy go powrozy związanego, zawołał poskakując do kanclerza:

— Co to jest?

— Wiążę zdrajcę — odpowiedział mu kanclerz — ponieważ widno jak na dłoni, że z czyjejs namowy, króla zabić chciał swemi lekarstwami z umysłu to czyniąc; dójdziemy z niego na pytkach kto mu to doradził.

Gliński pobladł i posiniał cały.

— Brońcie mnie kniaziau! — wołał do niego Baliński.

— WM. — ozwał się Gliński do kanclerza, nie macie dowodów, słuchacie tylko nieprzyjacielskich poszeptów; którzy i mnie wplątać w to chcą.

— Nie wiem, to pewno — rzekł spokojnie kanclerz — że wy kniaziau ręczyliście przedemną głową za tego zdrajcę i żeście go sami tu sprowadzili.

To mówiąc Łaski rozkazał go wieść do turmy, a Gliński wyjękawszy słów kilka, pobiegł do króla i królowej.

Król leżał bardzo osłabiony, kniaź padł na kolana

u łóżka i płakał całując rękę królewską; ale nie nie śmiał mówić choć kilkakroć poczynął. Snać mu języka onego tak wyprawnego na ten raz nie stało; a potem był tam lekarz królewski z Błonia, przed którym może na kanclerza żalić się nie chciał.

Jakoś z pomocą nową, Aleksander przyszedł nieco do siebie, została mu wszakże taka niemoc, iż ruszyć się o swej sile nie mógł.

Kancelarz zasię odtąd nieodstępny był od łoża dniem i nocą, dawszy rozkazanie swoim, aby dobrze Balińskiego strzegli. Turma zamkowa była jakoś u wrót ku mostowi, kędy go osadzono w izbie na dole z jednym oknem kratą umocnionem od podwórca, a drugim wysoko nad mostem deskami zabitem. Tu on matacz śród lamentował o sobie, a palce sobie był mówili pogryzł ze złości, przeklinając siebie i Glińskiego, który go pismem swem sprowadził. Nie było tedy co czynić, tom się i ja tam z innymi przechadzał, przypatrując się temu z wielkich łask zakutemu teraz mataczowi, co mu się chłopcy ulicznicy, stołem smolnym przegrążając wykrzywiali. Blady był aż zielony, a rwał się w tej ciupie tam i sam jak opętany. Chwilami znou leżał i płakał jak dziecko. Mówiono, że na zmierzchu tego dnia kniaź Michajło chodził do niego, a zrazu straż go polska puścić nie chciała, ale potem kanclerza rozkazanie było, aby kniaziowi wolny przystęp dano. I z kuchni też Glińskiego, z jego dworu nosili jadło więźniowi; a powiadali, że jak ono pogadał z Glińskim, tak się zaraz uspokoił i nabrał serca wielkiego, a pił tylko niezmiernie i całą noc szumiał po izbie.

Ale co jadło, to wprzódy słudze dawał próbować, bojąc się śnać, aby go nie struto. Był jeszcze kniaź Michajło u niego ze dwa razy; chciał kanclerz zaraz wziąć na pytki matacza, ale nie po temu był czas, bo król coraz gorzej chorował. Tymczasem, coś we dwa czy trzy dni od uwięzienia onego, jednego poranka przybiegli z oznajmieniem, że uciekł, kanclerz spojrział na przytomnego kniazia a ten ani słowa nie rzekł, ani na prawo ani na lewo. To jednak pewna, że nie kto,

tylko Gliński pomógł mu wybrać się z ciasnego kąta, w którego sam namową wprowadził, boby był bez pomocy nigdy z tak mocnej turmy nie uszedł. A jakśmy potem oglądali na miejscu, że przepiłował tarce od fosy, okno wyłamał i po powrozie z węzły się spuścił, kędy mu człon podano, boby był inaczej nie wybrnął. Tak tedy pojechał szczęśliwie i wysłani w pogoń nie nadybali go nigdzie, aż się dobrze później pokazał koło Krakowa w Zwierzyńcu, kędy z żoną mieszkał. I imano go powtórę, ale drapnął jeszcze, mając zawsze plecy za sobą. A z Wilna jako później wiadano, przez Prusy się posunął cichaczem w swoje strony.

Gdy król tak leży na poły umarły a tu już i szczerze leki nie pomagają, że prawie tylko końca wyglądamy, bo było posłano nawet po brata królewskiego Zygmunta, księżę opawskie i głogowskie, aby rychło przybywał, aż tu jak na to srogie wieści idą o Tataarach, jako plądrują, a koło Nowogródka zagony czynią a lud biedny w niewolę pędzą, pałac, niszcząc, wycinając, rabując swoim pogańskim obyczajem.

Król słaby rozesał po panach litewskich, aby się do pospolitej obrony zbierali; ale nikt na to ani pisał, ani się ruszył, ani głosu królewskiego usłuchał, byli tacy, co mówili:

— Jako sobie Glińskiego ulubował, niechaj Gliński ratuje.

Owoż nikt nie przybywał na rozkazanie; a srogi ztąd frasunek; każdy jeno myślał, jak swojego dobra chronić, ten sam, ten tam szli samopas. Widząc to król, pytał rady u Glińskiego, który haniebną znowu zdradą, jakby go dobić już chciał, na poły tylko żywemu doradził, aby sam do Lidy jechał, kędy słyhać było, jako się dość szlachty uzbierało i pany senatory niektóre, aby tam starał się ich nakłonić do wspólnego ratowania w niebezpieczeństwie powszechnem. Król jako był zawsze do zbytku powolny kuiazowi, tak znowu nie mając siły po temu, dał się nakłonić i zaraz nam zakazano nazajutrz do Lidy. Królowa Helena bojąc się

męża chorego odstąpić, też z nami ruszyła. Pamiętam jako dziś ten żałosny, a prawie pogrzebowi podobny pochód. Było nas przy królu ludzi ze dworskimi kilkuset, był kniaź Michał, pan kanclerz, kapelan i spowiednik królewscy, Biskup też wileński i kilku z jego strony, z którymi się król przyciśniony potrzebą przejednywać zaczął, przypuszczając ich do siebie. Rano jako świt wyniesiono króla na przygotowany wóz, wysłany wysoko jako mary. Królowa jechała tuż osobną kolasą, a reszta dworu wedle pospolitego zwyczaju na koniach. Kniaź Michał popędził trochę przodem do Lidy, aby na zamku mieszkanie zgotował dla króla. Dała się nam ta droga we znaki, a choremu jeszcze srożej, bo w Augustcie miesiaćcu upał był wielki, pył srogi, a kamienista też i trząska droga, dla której stękał król i nieraz zatrzymywać się kazał. Tak nam było wszystkim smutno, że niemal całą drogę, której było mil dwanaście, gęby nikt nie otworzył. Słońce zasię piekło, że aż namiot nad wozem królewskim rozbijać musiano, aby chorego zasłonić. Trzeciego dnia dopiero, na zaraniu chłodem dopędziliśmy do Lidy, kędy prosto króla na zamek stary, który tam jest nad wodą wieziono, a gdzie kniaź komnaty chędogie przygotować kazał dla starszych. My jakośmy mogli, bo był zamek murowany ale niewielki, mieścili się podle niego w gospodach. Skorośmy tu przybyli, jęta się szlachta cisnąć do króla i panowie, a tu już widząc jak się święci kniaź Michajło, na czas zaprzestał swoich podszechuwań i jakoś niby zgodę uczyniono. Król zasię i z królową, co głosu miał, to wołał i prosił, aby się wszyscy ku wspólnej obronie gromadzić nie zaniechali. Jako też owi i sami widząc, że nieprzyjaciół rozzuchwalony coraz śmielej plondruje, postrzegli się i gromadzić do kupy tuż w Lidzie poczęli. Ale nikt nie wiedział o Tatarach inaczej, tylko że są koło Nowogródka, nie spodziewano się ich tak prędko pod Lidą.

A no drugiego dnia, kiedy radzą o obronie, a kupią się do króla wszyscy, pominę stałem u bramy zamkowej, która w ulicę patrzy i blaznowałem z dworaki,

co się nie bardzo przeciw Tatar spieszyli, a drugich wyprawiali, jakobyś rzekł, cudzą ręką żar zagrzebywali.

Spojrzym, aż ci leci ktoś ulicą na koniu prosto k'nam; a przypadłszy bliżej zsiada i woła:

— Tatarzy, Tatarzy!

Poczęto się do niego gromadzić na ten krzyk.

— Co? jak? — pytano.

— A to widzicie WM. odpowiedział — wskazując im na policzek, który miał przebity wskrós a z którego jeszcze krew mu ciekła — za godzinę będziecie tu mieli nieproszonych gości, nie dalej mili, nowogrodzkim gościńcem pędzą Tatarowie na Lidę.

Naszedł na to kniaź Michajło i jął pytać.

— Jechałem, prawi szlachcic, drogą do Lidy, w mili ztąd potkali mnie Tatarzy, którzy tam ze wsi pędząc bydło i ludzi gнали. W konia chciałem uciekać, obrócić się, dwu za mną, a jeden puścił strzałę z łuku, która mi twarz jako WM. widzicie zraniła. Tu ja nie patrząc bolu, westchnę do Najświętszej Panny i zetnę szkapę batem i puszczyć się co sił i tchu stało. Pędzą oni za mną, pędzą aż im pomęczone konie ustają i tak porzucili mnie przecie w pół drogi, a jam się dognał ledwie żywy.

Tak mówiąc szlachcic ocierał pot z czoła i zdyszany sapał. Gromadzili się wszyscy dokoła; ale jak to pospolicie bywa, wzięto go za szalonego a wieści nie wierzono; wszyscy mówili że to być nie może, wszakże baczyłem, że tłómczki i węzełki po kątach zbierali, a konie juczyli i śmiałem się z nich.

Ale kniaź Michajło, jako był wojak dobry, choć złego serca człowiek, zaraz chcąc te wieści sprawdzić, posłał swoich sprawnych Raczów, starych żołnierzy, aby dostali języka. Król jeszcze o tem nic nie wiedział, ale królowa, której się doniesło, klęczała przed obrazem Matki Boskiej i modląc się płakała, a na najmniejszy krzyk w ulicy prawie mdlała. Rano pojechali jakoś owi Glińskiego żołnierze, a z południa ujrzelśmy ich, że już w miasto pędzili nazad i nie próżno, bo na

wysokich kopkach wieźli dziewięć szkaradnych głów tatarskich. Ujrzał ich książę, a i o więcej nie pytał, ujrzał kanclerz a wnet kazał dworowi królewskiemu gotować się do drogi, królowa za się Helena przez okno zamkowe, obaczywszy przypadkiem, one posoką złane pyski pogańskie, całe bez duszy padła. Rozruch tedy stał się około króla wielki a niewypowiedziany. Sam król niechcący dowiedział się o bliskości Tatar, od czego gorzej omdlał i osłabł. Biskup tylko i kanclerz głów nie potracili, a książę także, który już gotował się dowodzić szlachcie i iść przeciw poganom. Reszta dworu targala się jak w ukropie, nie wiedząc co czynić, ten uciekł, ów wrzeszczał, inny co pod ręką było chwycił, dzwony były trwogę, mieszczanie płakali wśród rynku ściskając za nogi księcia i prosząc aby ich z żonami i dziećmi ratował. W ulicach czysty obóz, bo pełno było szlachty z różnem uzbrojeniem, różnych lat i postawy, która miała iść na Tatar. Jedni konie siodłali, drudzy na kamieniach szable ostrzyli, inni na ochotę pili i wrzeszczeli. Mieszczanie co bogatsi to do kolas, do wozów, zaprzęgali, co kto miał pakowali, żony i dzieci płaczące sadzali i tak gościncem wileńskim ku Wilnu snuli się, prowadząc za sobą bydło, gnając kozy, owieczki i świnie. Widok to był, gdyby nie strach od Tatara, śmieszny a dziwny tego powszechnego popłochu, krzyku, tumultu i wielkiej bojaźni.

Na zamku też u naszych nie lepiej, bo gdy król jęczy a królowa we łzach się rozplywa, dworacy głowy swoje tracą, patrząc na te Tatarskie. Co kto krzyknie w ulicy, a było wrzasku nie mało, to im się zdaje, że już poganie na karku siedzą, wyglądają przez okienka porywają się do szabel i rusznice.

Kanclerz Łaski jakom rzekł wyżej, całe głowy nie postradał, pocieszali oni króla siedząc u jego łóża, tem, że na Tatar zgotowało się już było dziesięć tysięcy szlachty, która ich walczyć na swoich śmieciskach łacno odeprzeć mogła by ich i dwoje tyle było. Szło tu tylko o wybranie wodza, a jako najpierwej nasuwał się książę Gliński, który się rycerskiemu rzemiosłu nietylko

na własnej ziemi przypatrzył i uczył, ale we Włoszech, Hiszpanii i na dworze Maksymiljana Cesarza. Toż gdy jemu jednemu nie zdało się całych sił w ręce oddawać, postanowiono u łóża królewskiego, aby połowę wojsk wziął pod swoje rozkazy Kiszka, hetman wielki, jako to i z urzędu swego powirien był uczynić. Ale dowiedziawszy się Gliński że miał słuchać Kiszki którego z dawna jako partyzanta Zabrzezińskich nienawidził; zgola nie chciał nie poczynać. Toż Kiszka uczynił się chorym, a dowództwo przy kniaziu Michale zostało. Tu już królowi urządziwszy te rzeczy należało spieszyć z Lidy nazad do Wilna, aby go w zamczku nie zachwycili mało obronnym, gdzieby im się oprzeć nie było można, w Wilnie za się nie tyle mury poczęte i zamki, jako sława tego wielkiego miasta broniła, o któreby się kusić tłuszcza ona, nie odważyła. Przygotowanie do drogi poczyniono jakoś do wieczora, ale że król jechać już wozem nie mógł, bo się był srodze strząśł, a i wypocząć nie było kiedy, wymyślili tedy nieść go w lektyce leżącego między dwoma kofmami. Sam kanclerz dobrał tych którzy koni dosiąść mieli, dla większego bezpieczeństwa królewskiej osoby; a ci byli, Mikołaj Rusocki, później kasztelan Biechowski i Jan Sobotka ze dworu kanclerza, jego powinowaty.

Tak tedy ruszyliśmy na powrót z Lidy do Wilna wieczorem tegoż dnia, król w lektyce, królowa w kolasie, reszta konno jako Jan Łaski kanclerz, biskup Wojciech Wileński, Jan Zabrzeziński. Nie bał się już książę Michajło, choć nieprzyjaciół swych przy królu zostawiał, że do niczego był nie zdatny i słuchać nie mógł by mu co Anieli prawili. A to też była podróż smutna i osobiwa, z pospiechem wielkim. bo konie pod królem przemieniali, co kilka mil, w jękach i niespokojności nie malej. Oglądaliśmy się gdy noc przyszła za siebie, czy za nami kto nie goni, a widzieliśmy wszyscy dobrze dalekie łuny tatarskich pożogów, któremi płonęły wsie w mili od Lidy do koła, bo kiedy zagon ich przeszedł, to nie po sobie nie zostawił tylko ziemię a wodę, i to nie czyste, bo ziemię popiołem

a wodę krwią zawałaną. Srogi strach nas i mrowie przechodziło, gdyśmy tak nocą, w milczeniu pędzili lasami i szerokiem polem do Wilna. Całą oną noc biegaliśmy bez ustanku, a jeszcze i na dzień zostało drogi kawałek. Dopiero wieczorem dobiliśmy się do Wilna, a jakieśmy w dolinie ujrzeli jego wieże i mury, toż zamek z basztami, lżej dopiero na sercu stało. Podobni zbiegom, cicho, bez huku i witania jechaliśmy ulicą w zamek, kędy króla chorego złożono, a tak złamanego podróżą, iż mówić i poruszać się nie mógł. Biskup jak skoro do Wilna przybył, jał się zaraz około obwarowania lepszego miasta krzątać, bo nikt wiedzieć nie mógł, czyli i tu poganie próbować szczęścia nie przyjdą. Nakazano modły po kościołach, na odwrócenie plagi pańskiej od niewinnego ludu, i przebłaganie jego gniewu. Na zamku smutno było jak w grobie, bo żadna wieść od wojska nie dochodziła, a niepewność była wielka, gdyż naszych połowa ledwie była tego co Tatarów, rachowano tylko na to, że do ostateczności przywiedzeni bić się byli powinni lepiej niżeli najezdniczy dla łupu. Król znękany ostatnią podróżą i wielkim strachem którego doznał, skoro do Wilna, żadnej o sobie nie dawał nadziei. Spojrzeć było tylko na jego oblicze, to na niem śmierć już napisała, że go rychło wzięść miała z sobą, bo był jako niemowlę, abo jeszcze gorzej niemowlęcia bez ruchu, bez mowy i bez siły. On, co niegdy łamał żelazo w rękę, teraz rąk podnieść nie mógł, ani się z boku na bok przewrócić, a jak wprzód mało i powolnie, tak teraz nic nie mówił wcale i pokarmy mu (a maluczko ich potrzebował) do ust wlewali. Toć, nie lekarze już obsiedli go, bo nie było tu co radzić, kiedy Bóg życie widomie odbierał, ale księża Franciszkanie i Bernardyni, modląc się u łóża jego dzień i noc. Smutny i to był widok opuszczonej komnaty owej królewskiej, onego króla bez dworu, leżącego na poły umarłego, bezsilnego, a jeszcze pod strachem od nieprzyjaciela, który mu państwo niszczył. Zapuszczone okna komnaty, tylko smutne pogrzebowe światła jarzące płonęły nie jasno, dwóch pacholików

w nogach łoża, a kilkunastu księży śpiewających pieśni lub szepeczących pacierze. Kanclerz i inni naradzali się co co czynić mieli, bo śmierć królewska była widoczna i spodziewana, a Zygmunt Opawski natenczas księżę, nie przybywał jeszcze. Królowa raz w dzień przychodziła do łoża rzewnie płacząc, a resztę czasu spędzała w cerkwi Preczystej, którą tak zwano, nie daleko od zamku położonej, co ją była odbudowała na nowo i uposażyła wielce. Był tam u królowej obraz N. Panny cudowny wielce, od ojca jej dany, gdy do Litwy jechała, ten powiadają że łzami na on czas plakał, z czego źle wszyscy wróżyli. A nie brakło też i wróżb innych, bo się krwawy ukazał kometa, mało co przed śmiercią królewską i na zamek krakowski, spadł jakiś ogień z nieba, co wszystko pewne znaki były, śmierci Aleksandrowej, której wszyscy czekali tylko, myśląc o sobie.

A panowie litewscy wielce się jej lękali, choć i życie królewskie nie wiele im dobra pod wpływem kniazia Michajła obiecowano; ale bali się, jako mówili głośno, aby korzystając z tego, że wojsko miał w rękę, nie chciał się na Wielkie Księstwo posunąć. Przetoż szczerzej niż kiedykolwiek z Polaki byli, a pomocy ich wyzywali.

Tamci zaś tym radniej im podawali ręce, że i im wielce o Unję z Litwą chodziło, przez której rozerwanie, połowę sił swoich, byliby poterali.

Takich to trwożnych i smutnych dni kilkanaście nam uszło, w oczekiwaniu wiadomości od wojska, król miał się gorzej a gorzej, a widząc smutne twarze kolo siebie tracił nadzieję dobrą o wojskach swoich. Aliści jakby na pocieszenie jego, z wieczora w wigilią śmierci napędził do Wilna posłaniec z wiadomością, że Gliński pobił Tatarów. Kanclerz Łaski i inni, do których pierwszy z tem przybiegł, poszli z nim do króla. Nacisnęło się też dość tłumu za niemi do izby w której król otoczony księżmi, ciężko od boleści dychał. Głośno rozpowiedział o pobiciu Tatar kanclerz, ukazując posłańca. Na te słowa oczy Aleksandra zabłysły, głowa się poruszyła, cały zadrżał, jął wyciągać bezsilne ręce i łzy

mu się toczyły z radości. Dwoje chłopiat co tam stali, podnieśli ręce królowi, który płacząc i wznosząc oczy, dziękował Bogu i modlił się. Potem za się, choć mowy już nie miał, jął wzrokiem i uściskiem żegnać wszystkich, jakby okazywał, że teraz spokojnie zejść może, gdy o zwycięztwie się dowiedział. Wszyscy co tam byli, płakali widząc, jak uczuł pan nieszczęśliwy, troszkę pomyślności, która mu nad grobem zaświeciła. Przyjmował potem król w nocy Sakramenta i drzwi jak zwyczajnie otwarto, przypuszczając wszystkich do pożegnania, gdyż widno było, że nie długo miał żyć. Królowa Helena dobiegła też do łoża, spodziewając się czyli królowi ta wiadomość zdrowia nie powróci, ale ona podobno wzruszeniem koniec tylko przyspieszyła. Jakoż i w kilka godzin potem umarł.

Dobry to był pan nikt inaczej nie rzecze, bo dla sług, dla dworzan, dla najbliższych hojny bez miary, zły tylko dla siebie, a i temu nie wiaien, bo był słabego umysłu. Panowie senatorowie Litewscy, którzy najbar dziej do niego żal mieli, wiedzieli, iż złe które im uczynił, to nie z siebie, ale z naprawy Glińskiego. Świecze Panie nad duszą jego.

Zaraz po śmierci Aleksaudrowej, wziął się spór o pogrzeb, jako go miano odprowadzić; bo kanclerz Łaski, jako wiedział o woli królewskiej, tak koniecznie chciał wieść ciało jego do Krakowa z pały litewskimi. Ci za się, a mianowicie Zabrzeziński i Biskup Tabor, a k'temu i inni wołali wielkimi głosy, że skoro Wilno opuszczają, a ujadą za ciałem, Gliński świeżem zwycięstwem nadęty, mając po temu swych Rusinów, łatwo stolicę opamię, zacem i Wielkie księstwo mieć będzie w swoim ręku. Spór o to toczył się wielki i długi, a choć Łaski swego zdania zawsze jako mógł nie ustępował, jednakoż biskupowi i drugim dał się jakoś przekonać, a przynajmniej, wstrzymać do przyjazdu Zygmunutowego, którego się spodziewano co chwila.

My za się dworacy, a ja osobiwie, utraciwszy pana, wcaleśmy nie wiedzieli co pocniemy z sobą, do czasu jeszcze byliśmy przy zamku. Kędy mianowicie suknia

moja dziwną się zdała, przy kirach pogrzebowych. Tak-
że też przebrałem się jako i drndzy, a czekał co z na-
mi będzie. Dano też znać o Zygmuncie, który w dwu-
nastu milach od Wilna dowiedział się o Aleksandro-
wej śmierci i biegał do Wilna. Wszyscy panowie ile
ich tam było, pospieszyli z poczty przeciw niemu, bo
się była pogłoska rozeszła, że i Gliński przeciw Zy-
gmuntowi ciągnął w siedemset koni. Drugich też trwo-
żyło to, że książę takiego ludu nabrał z sobą, bo wie-
dzieli, że Zygmunt nie ma jeno najwięcej dwuset jezd-
nych, a gdyby przyszła fantazja toby go był zabrał ze
wszystkiem i uczynił co chciał. Nuż tedy wszyscy na
koń, i ja z niemi wmieszawszy się do pocztu pana Ki-
szki, który mnie dość lubił i pojechać z sobą dozwolił.
Jechaliśmy nocą i dniem przeciwko Zygmunтови, któ-
rego przydybaliśmy w lasach, gdzie już i Gliński pra-
wie oto dojeżdżał. Byliśmy przeto świadkami spotka-
nia, a zaiste poczet marszałkowski świetniejszy i lic-
niejszy był od przyszłego króla. Czy to jednak Gliń-
ski strachał się przybywających panów senatorów, czy
mu jeszcze pora nie była przyszła, ale nie nie począł.
Owszem ujrzawszy z daleka na drodze Zygmunta zsiadł
wcześnie z konia, zdjął czapkę, pieszo podszedł ku nie-
mu i całując podaną rękę, gdy się książę zatrzy-
mał, począł powitanie. Długie ono było, bo się książę
Michał z podejrzeń wrzuconych o Wielkie Księstwo oczy-
szczał, na nieprzyjaciół swych bił, świeże zwycięstwo
wystawiał i wierność swą a posługi ofiarował. Zygmunt
też jako był pan baczny i rozumny, tak z wielkiem na
pozór sercem go obłapiwszy, dziękował a łaskę wielką
obiecał. Przystąpili za się i inni panowie senatorowie,
wielkim książęciem Zygmunta witając, których wszy-
stkich nie mniej wdzięcznie przyjmował. Potem już
razem wszyscy jechaliśmy dość milczący. Książę roz-
pytywał się o Tatarach, o śmierci miłego brata i in-
nych sprawach, i tak przybieżeliśmy do Wilna.

Tu ledwieśmy przybyli, król zsiadłszy z konia w po-
dworcę zamkowy, poszedł naprzód do ciała brater-
skiego, kędy się modlił i plakał. A tu też zastąpiła

mu drogę królowa wdowa cała w czerni i we łzach i padłszy do nóg, prosiła aby jej był łaskaw, co przyrzekł.

Wznowiły się też tego wieczora rady o pogrzebie królewskim, gdzie się miał odbyć, a Zygmunt usłuchawszy w tem Biskupa, postanowił aby, acz nad wolą braterską, za żywota jego okazaną, pogrzebiono go u św. Stanisława na Zamku, gdzie leżeli Witult, Zygmunt, syn jego Michajło, Świdrygieł i inni książęta. Jęto się też przygotowań pogrzebowych, po których Panowie Senatorowie postanowili nie mieszkając Zygmunta starodawnym zwyczajem podnieść na Wielkie księstwo, jak wprzód Aleksandra i innych.

Ale chociaż Aleksander umarł jakoś w miesiącu Sierpniu, to nim przybył Zygmunt, nim się rozgospodarzył w Wilnie, a potrzebne przygotowania do pogrzebu poczynione zostały; pociągnęło się do października. Dopieroż w październiku jakoś, a była jesień piękna jeszcze, odbył się Aleksandrowy pogrzeb dosyć spaniale; szło naprzód mar czyli wozów czarnym kireni okrytych trzydzieści jeden, każdy czterma końmi w karpach czarnych też, ciągniony, na jednym z nich wieszono bogatą trumnę, w której były zwłoki królewskie. Wiedziono zatem koni luźnych, adamaszkiem, aksamity i innemi materjami drogiemi całe okrytych trzydzieści i dwa, a każdego prowadził chędogo odziany masztalerz. Niesiono osiem chorągwi z herby różnemi, czterech rycerzy szli z berłem, mieczem, jabłkiem i koroną. Był też cały dwór nieboszczyka króla w żałobę przybrany, gdzie i ja się znajdowałem. Rzekł mi pod ten czas ktoś:

— Stańczyk tyle czuje żałobę, co konie pod czarnemi kapami.

Odpowiedziałem mu:

— Daj Boże, abym wszystkiego głupstwa ludzkiego tyle tylko czuł i widział, co te konie.

One wszystkie pogrzebowe ubiory i przybory, darował potem Zygmunt do kościoła św. Stanisława, ba i koni wiele, z tych które mary ciągnęły. Były tam

i mowy wielkie pochwalne i nabożeństwa siła i światła mnóstwo gorzało i dzwonów natłuki; co wiedzieć jak to wiele duszy nieboszczyka pomogło:

Zaraz po pogrzebie onym sławnym, w dni jako dziś pomnę dziewięć, wzniesiono Zygmunta na wielkie księstwo z obrzędami starodawnymi. Książę Michajło (sam Pan Bóg tam wie co się w duszy jego działo pod ten czas) z urzędu swego Marszałkowskiego, Zygmuntowi miecz podawał. Rzekłem na on czas w kościele:

— Żeby go nim po szyi.

I wielu się z tego śmiało, bo warto było, jak się potem pokazało, a nie chybiłem radą.

Tuż pono przypada i o sobie coś rzec jakom tego czasu przez Zygmunta już wielkiego księdza, za trefnisia dworskiego przybrany został. Jakoś to było iż w dziedzińcu zamkowym, pospolitą naówczas zabawę sprawiano, przy księciu, puszczając psy na niedźwiedzia. Ale one ogary czy się objadły czy co, brać go nie chciały. Książę się srodze gniewał i inne psy puszczać kazał, pokarawszy psiarzy iż okarmili je. Stałem tedy przypadkiem niedaleko między dworskimi i rzekłem:

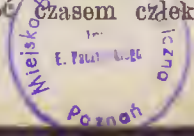
— Niechby miasto psów, puścił miłościwy pan pisarze swoje, toć oni by się najlepiej obzarli, przecie zawsze biorą.

Śmiech się wszczął, aż książę dosłyszał i spytał: — Czego się tam ryhotano? Powiedział ktoś, Zygmunt się rozśmiał z trafnego żartu i wyzwał mnie ku sobie i kazał toż powtórzyć.

— Coś ty zaczą? spytał potem.

— Trefnisiem byłem nieboszczyka kardynała Fryderyka, a miłego pana Aleksandra, odpowiedziałem. teraz z psy i sokoły, do waszej miłości należą.

Kazał mi tedy dać suknię Zygmunt i więcej nie odpuścił od siebie, a jako mnie, mogę śmiało rzec, miłował to jako żaden z poprzedników. Bo lubił żarty, i znosił je, po królewsku nigdy się za nie nie gniewając, choć czasem czepek i miary przebrał, jak



to się pokazywało. Otóż od tej chwili chodziłem i jeździłem z nim wszędy, nieodstępny będąc.

Nim przyjdę za się do jego sławnego panowania, którem całe przeżył, opowiem tu jeszcze, co się mnie jednego tyczy, a choć to w kronikach nie miejsce, własnego żywota wypadki zapisować, ale mnie to ujdzie, bo jaki pisarz takie pisanie.

Z młodych lat, nie byłem nigdy kobieciarzem, ani mnie kiedy skusiła podwika by najsubtelniejszą okrywała postać. Było ich dość w Krakowie, co ząbki wyszczerzały, a żadna mnie przecie nie ujęła, abym za nią poszalał, jak to drudzy czynią. Ale jeden dziś, drugi jutro, musiałem i ja głupstwo zrobić, a w miłości się uplatać. I napadło mnie to w Wilnie. Kiedyśmy tu z Aleksandrem przybyli, tak sroga była trwoga od choroby królewskiej i Tatarów, że mnie błazna całę nie potrzebowano, bo wszyscy ze trwogi pobłąźnieli. Anom chodził samopas po mieście z innymi, upatrując ludzi, aby się z nich śmiać po swojemu. Tylko suknię onę błazeńską zrzucałem gdym na miasto wychodził, bo było się w niej pokazać na ulicę, toś się nie opędził chłopiętom, które za tobą biegły, a wždy błotem i kamieniami ciskały. Trefnisia bowiem nie wiem czemu za bezecnego wszyscy mają, a choć się z niego śmieją króle i pany, choć go na dwór przyjmują, przecież go prosty lud, jak kata albo psiego zbójcę omija, i nikt by mu ręki nie dał, gdyby wiedział, co zacz jest. Mało tam twarzy mojej znano na mieście, a gdym chodził, to w barwie dworskiej, nie w szachowanej sukni, i takem był z różnemi po gospodach się zapoznał, a drudzy i do domów zapraszali. Był tam jeden bogaty kupiec, który się zwał Boim z dawnej ucziwej mieszczańskiej familij, której i we Lwowie i po innych miastach Rusi Litewskiej dość się rozpleniło. Ten razu jednego, (a był bardzo ciekawy nowin) poprosił mnie na miód do siebie, aby się czego dowiedział. Nałgałem mu za się wiele, bo był tak łatwowierny, że byle siako tako bajkę sklecić, to ją brał za świętą prawdę i nosił z nią wszędy,

a gotów był za nią przysięgać potem, kiedy by kto zaprzeczył. Z czego, żem mu wiele nakłamał, polubił mnie bardzo, bo drudzy dworzanie, ze strachu niewiele gęby otwierali i cedzili po słówku, prosił abym do niego codzień przychodził i wielką przyjaźń obiecował. Ja też nie od tego, z początku powiem prawdę, aby się nadzwici z niego, potem już za się z innej przyczyny. A to z takiej: pan Boim miał córkę wcale cudną dziewczkę i nie po białogłowsku rozumną. Nie wiem ci czemu dali jej się mieszczaneczki zasiedzieć, bo jakim ją poznał, to miała myślę lat już pod trzydzieści i była w porze stan obierać.

Z początku gdym ją obaczył, całem się ani zdumiał, ani poruszył widokiem jej, jak to młodym bywa, choć mi dopiero dwadzieścia lat było (ale starszej wyglądał). Gładka była z twarzy, postawy poważnej, wzrostu niemałego, oczu czarnych, włosu czarnego, pici tylko smagłej, ale to jej nie wadziło; nie stroiła się też bardzo, a chodziła skromnie nie świecąc błyskotki i trzęsidłami choć ich miała za katy, bo była jedynaczka, a ojciec nie żałował. Z początku tedy jakim rzekł, nie rozmiłowałem się obcesowo, ale przyszła ona miłość powoli z rozmowy z nią coraz to częstszej, w której wielki rozum okazowała. I niewiem jak się to stało że mi też, co dzień to gładszą się wydawała. Pan Boim wypytawszy mnie ze wszech stron o nowiny z królewskiego dworu (a sypałem mu ich pełną garścią, bom ich nie kupował i nie żałował) to często, jak mu co wypadło pilnego zostawiał mnie z córką, sam na sam. A tu już inne rozmowy i coraz czulsze były i baczyłem, że mną nie gardziła. Owszem widocznie skłaniała się ku mnie i była mi powolną. Poznała się ona zaraz, żem tu nie z nowiny, ale po nowiny przychodził do nich, ojciec też myślę zuniarkować musiał, ale com się do panny przysiadł, nie okazowali mi, aby temu przeciwni być mieli. Ja też rozmiłowałem się jako kot, a coraz to mi Kasia była milsza i zdawała się piękniejsza. Jużem nie nie robił, tylko w jej czarne oczy patrzył, a umiała je takie słodkie

zrobić, żeby tam był król upadł przed niemi. O wszystkim też za się zabyłem i poczęłem sobie tęsknić na dworze a coraz to częściej zaglądałem do pana Boima. To pan Boim był w sklepie, a ja siedział u córki. Aż mi zbrzydło moje błazeńskie rzemiosło i życie i poczęłem żałować żem się go przez rozpustę chwycił, a przemyśliwać, jakobym tę suknię zrzucił; wiedziałem bowiem, żeby mnie Kasia najmocniej kochała, to za błazna nie pójdzie i nie tylko ona, ale żadna, chyba stara jaka miłośnica, a i to wątpię. A tu już srodzem się frasował, bom się wielce był w niej pokochał, a rozumu jej tom się wydziwić nie mógł. Bo wątpię aby tego czasu była białogłowa w Litwie, która by jak ona czytywała i pismo rozumiała, tak że nie jednemu uczonemu, mogła być pyłem oczy zasypać. I nie była z tego dumna, nie wyprowadzać jej na to, to byś nie poznał, co się tam w onej główce pod czarnemi włoski kryło, świegotata jako ptaszek wesoło i skakała jako sroczka. Bo czego też jej tam brak było! Raj to tam był w tym domu, wszystkiego po uszy, ptaszego mleka chyba brakło.

Wieleś tam osobliwości mógł widzieć, których i po królewskich zamkach, nie znalazłbyś pewnie, a ksiąg pisanych i wyciskanych bardzo drogich, które jeszcze mało kto miewał, całe półki stały. Był by przedawszy je osadę kupił dobrą. Co zaś do klejnotów i innych drogości, to o tych i nie wspomnę. Ale pan Boim jako wracał z podróży, bo jeździwał często do Pruss, i w inne kraje, za haudlem swym, to zawsze coś przywoził rzadkiego, niewidzianego, pięknego.

A nie sobie pewnie, bo mu pieniądz był milszy jako kupcu, nad one fraszki bezcenne; ale dla córki, którą istnie po ojcowsku miłował. To też myślę, jako ujrzał iż się ona ku mnie skłoniła, z rodzicielskiego serca, nie na to już nie rzekł. A ja mu też do smaku przypadałem i o tom się starał wielce i nie żartowałem już sobie z niego jako przedtem, alem mu prawdę nosił, kędym ją gdzie tylko znalazł.

Trwało to tak nie pomnę jak długo. Owo były

szczęśliwe, a bodaj najszczęśliwsze żywota mojego chwile. Prawda, że człek zakochany rozum strada, ale za to, jakże mu dobrze, a on by się na swoje głupstwo, gdyby mu kto królestwo dawał nie pomieniał. Boć i to prawda, że tyle tylko razy człek szczęśliwy ile razy głupi. Szczęśliwy szalony — bo głupi, szczęśliwe dzieci, bo głupie, szczęśliwy zakochany, bo też niespełna ma rozumu. Pomnę jeszcze aczem stary i lat mi się po karku przetoczyło od tego czasu dobrze sześć dziesiątków, pomnę dobrze wszystko, jako było, i komnatę Kasi, i onego pocziwego Boima, świeć mu Panie nad duszą. Pierwsza izba była chędogo, ale po prostu przybrana. — Białe ściany, ławy dębowe, stół też taki w pośrodku, piec malowany, a dokola też ławy okryte, jakbym tam był wczora. Ale w komnatce Kasi, innego coś znalazłeś, tam i podłoga misterna, i ściany wybite sukny pięknymi, a po ścianach wisiały święte obrazy, które Boim z Niemiec miał za wielkie pieniądze. Tam była i ona droga półka z księgami, a łóżeczko chędogo usłane za firanki jedwabnemi, rzekłbyś wielkiej jakiej pani.

Co tam jeszcze drobnostek drogich, co różnych osobliwości, u okien, u komina, po szafeczkach, po półeczkach, nie wypowiem, choć mi to na oczach stoi. I widzę jeszcze w pośrodku Kasię, jakem ją widywał tyle razy, w sukni długiej czarnej, z włosy gładko uczesanemi, z księgą w rękach albo jakim ptaszkiem, albo kwiateczkiem. Bo miała taki rozum, że wszystko pojęła, a takie serce, że wszystko kochała. Rzadka taka niewiasta; najwięcej głowa serce zabija, albo serce głowę oszali. Jnż z całego domu, to była komnatka najrozkoszniejsza, i nie dla tego, że ona tam mieszkała, ale by tam i nikogo nie było nawet. Nie dałbym jej za zamek królewski, w którego pustych komnatkach, proch tylko podlatywał, zamiatany płaszcami panów Senatorów. Cóż dopiero, kiedy się ożywiła jej twarz, jej oczyma, jej głosem, bo śpiewała cudnie! był to raj na ziemi. Co my to tam za słodkie godziny spędzili, kiedy pana Boima nie było doma; ani mi się

wówczas śniło o Tatarach, którzy po Litwie srodze plondrowali.

A tak miłość moja z dniami rosła, że się stała wkrótce we mnie jedyną myślą i staraniem. Pytali mnie oni jakem się zwał, powiedziałem im własne nazwisko, które po ojcu miałem, i jako w Krakowskiej ziemi szlachecki kawalek posiadałem, a dodałem dobrze głośno, że był szlachcic. Toć to pono jedno za mną mówiło, bo zresztą nie, wiedzieli mnie oni w laskach królewskich, ale z tego wiele sobie nie obiecowali, bo znali jaka to śliska rzecz. A tu on klejnot szlachecki, którego wprzód i denara nie cenił, najwięcej mi pomagał, bo się bardzo pono chciało, mieszczaninowi wydać córkę za szlachcica. Wówczas to jeszcze nie tak jak teraz, co w Krakowie i Wilnie panowie burmistrze równo ze szlachtą idą, i do klejnotów przyjmowani bywają. Za onych czasów to im jeszcze szabli nie wolno było nosić, ani safjanu, ani droższych sukien, a każdy ich popychał, jako chciał, mianowicie też panowie szlachta. To też najbogatszy mieszczanin, wydałby był córkę za najuboższego szlachcica, i przykładów tego trafiało się nie mało.

Kiedy tak w onej miłości, całkiem ochynawszy się po uszy ugrzęzłem, począłem przemyślać jako się to wyżej rzekło, jakby z siebie oną błazeńską sukienkę zrzucić, a do pierwszego stanu szlacheckiego powrócić; bom się prawie brzydził sobą, dla bezceństwa tego rzemiosła, którem sobie przez swawolę młodzieńską obrał. Aleć nie łatwa rzecz była tak to zrobić, aby nikt pierwszego mi stanu nie przypomniał i owej plamy, którą sobie uczynił, na oczy nie wyrzucił. Toż różne mi myśli po głowie chodziwały, ale wszystkie do spełnienia trudne, bo mi jak one piętno nie zmazane, które zbrodniom na czele wypiekają, stan pierwszy beczesny wszędy na drodze stawał. A choćbym był i suknię zrzucił i onego błazeńskiego rzemiosła się zaprzął, znaleźć mię Indzie i przypominać mogli, że był przedtem trefnisiem. Pasowałem się tedy wielce z sobą, akoby uczynić, gdzieby się udać, aby mię nikt nie

znał — ale moja Kasia jak na toż nie mogła się oddalić z Wilna. Chociażem się, jakom rzekł szachowanych sukien zbywał idąc do niej, przecież strach mnie brał nie mały, ile razy dworzanina królewskiego postrzegłem gdzie blisko, aby snąć nie wydał, co zacząłem. Trwało to jednak dość długo tak, iżem po prostu za dworzanina uchodził; a tak się strzegłem onego zwykłego błaznowania, aby mnie po niem nie poznano, iż prawie ponury stałem się, z wielkiego przestrzegania nad sobą. Owoż ten humor podobał się Kasi, która była sama poważna bardzo niewiasta, a wartogłową nie cierpiała. I jam się też z początku męcząc, a siłąc, potem tak przenarowił, iżem inne obyczaje wziął i cale nie błazeńskie. Małoć kto wówczas na to zważał, bo na dworze królewskim nie potrzebowali trefnisa, powieszawszy nosy w dół w najlepsze. A jam też co dzień chodził do mojej miłej, a podczas gdy jej doma nie było, tom za nią gnał na przechadzki i do kościołów. Już tedy widoczna była ojcu i córce moja ku nim życzliwość, a staranie o przyjaźń, bom się z tem nie tał i umyśliłem im oczy zamalować, wymyślną bajką jaką, a ożenić się.

Owoż jednego ranka zastałem Kasię samą, w onej cudnej komnatce i po rozmowie która była żywsza niż kiedy, upadłem jej do nóg z oświadczeniem. Przyjęła je dobrze a odesłała mnie prosić zezwolenia pana rodzica; który wieczorem miał być doma. Odszedłem niespokojny do zamku wieczora czekając niecierpliwie. A tu jakby właśnie na większą moją mękę, gdy jakoś król miał się lepiej, posłali za mną, abym do jego łóża błaznować przyszedł. Wołałbym był, żeby mi byli kazali niewiem co najgorszego, tak mi się błaznować od srogiego niepokoju nie chciało. Ale cóż, aby się nie dać odkryć, musiałem śmiech udawać i drwinki stroić, choć prawie krwią mi serce zabiegało. Jakoś przecie nad wieczór skończyła się męczarnia i pozwolono mi pójść precz, bo król usnął. Ja tedy pędem w miasto do pana Boima. Zastałem go już, myślę że mu coś córka powiedziała, bo wyglądał jakby mnie czekał. Po krótkiej

przemowie, do nóg mu znowuż. Podniósł mnie łaskawie bardzo i nic nie mówiąc jał pytać:

— Wiesz WM. rzekł, jako córkę jedynaczkę kocham, bo mój to cały skarb i co mam a na com żywot mój pracował w pocie czoła, wszystko to dla niej. Muszęć tedy dobrze się rozmyśleć komu ją dam aby je szanować umiał i szczęśliwą uczynił. Ani uwłaczam WM. boś mi do serca trafił, ale muszęć dobrze wiedzieć, ktoś taki i co masz i kędy twoja rodzina, bo acześmy mieszczanie. ale druga szlachta nie będzie tak dumna klejnotem, jako my starodawną uczciwością, którą słyniem.

Tu ja mu powtórzyłem ową gadkę moją, jak się zwałem i że byłem szlachcic, ale na to pan Boim mi odpowiedział:

— A cóż WM. na to, kiedy powiem, że drugich dworaków c WM. pytał, a oni mi odpowiedzieli, iż tego nazwiska nikogo na dworze królewskim nie było?

To rzekłszy, jakby mnie wrzątkiem zlał, poczerwieniałem cały, spójrzę na Kasie a ona spokojna ale surowo na mnie pogląda i odpowiedzi czeka. Prędkom ochłonął i rzeknął im:

— Prawda to, bo mnie pod tem nazwiskiem na dworze nie znają, a to dla przyczyny ważnej, iżem je odmienił, bo ojciec mój zasłużył był niełaskę u króla Aleksandra, przeto dając mię na dwór, matczyne nazwanie przyjąć mi kazał, aby za się tamte nie przypominało królowi ojca, a mnie doli nie psowało.

Nie wiem uwierzyli czy nie ale zamilkli.

— A matczyne nazwanie WM.? spytał pan Boim ciekawie.

Powiedziałem mu je, ale jako żywo pod niem mnie też nie znano, i wiedziałem, że się kłamstwo wyda, tylko się ratowałem jak mogłem, bo i tonący brzytwę się chwyta.

Za czem kiedy ginąć to ginąć, uplotłem drugą bajkę, jako wczoraj zdarzyła mi się zwada na dworze, jako rozjątrzony dobyłem szabli na zamku (za co sroga kara była) i przeciwnika mego raniłem w piersi, tak

że teraz tulać się musiałem i pokazać się więcej na dwór nie mogłem, bo mi stali na gardło.

Kiedym to rzekł, Kasieczka podbladła, p. Boim głowę pokiwał i zamilkli.

— Cóż poczniesz z sobą? zapytał.

— Myślę jeśli mię łaska WM. potka a nie odmówisz mi córki swej, abyśmy kedy się wynieśli na lat kilka, póki by zapomniano o wszystkim.

Na to nie dali mi odpowiedzi, p. Boim głową poruszał, jał za czapkę, a był późny już wieczór, skinął głową i wyszedł. Zostałem się z Kasią, która widomie była bardzo smutna.

Począłem jej tedy pytać:

— Co ci jest Kasieńku miła?

— Sama nie wiem, odpowiedziała, ale mi ciężko na sercu.

— Powiedz mi szczerze, rzekłem, nie z mojej przyczyny?

— Sama niewiem.

— Może nie czujesz ku mnie serca?

Obejrzała się i coś szepnęła, ale w oczach jej nie było tego coś miłego, jak czasem bywało, kiedy chciała; miała minę niespokojną.

— Kedyż to tak późno ojciec poszedł? spytałem.

— Nie wiem, odpowiedziała. Ale wszystko była ze mną zimna jak nigdy. Pomyślałem tedy alboż ona mnie cale nie kocha i tylko udawała, sądząc że wielkiego szczupaka złapie, a tu płotkę wyciągnęła albo mnie miłuje, a wtedy wszystko dla mnie uczyni.

I padłem jej do nóg powtórę.

— Moja miła Kasieńko, powiedz proszę, jak Pana Boga ukrzyżowanego miłujesz co ci jest, a czemuś nie swoja? wspomnij ony chwile razem spędzone w twojej komnacie, spomnij żeś ongi była łaskawsza na mnie! Cóż to za przemiana.

Niespokojnie spojrzała na mnie i odpowiedziała:

— Poczekaj ino, a o wszystkim się dowiesz.

Tu ja ochłodziłem bardzo z onej wielkiej miłości, jakby mnie kto zimną wodą zlał, bo mi coś szeptało,

iż Kasia tylko jeno udawała ono kochanie i czarnemi oczyma tak wojowała, aby męża złapać, a teraz wątpiąc o mnie, czyli jej będę dobry, albom nie podłego stanu człowiek, już się cofała po troszę. I myśląc to wzięła mnie wielka ku niej pogarda, bom to miał za zbrodnię, aby udawać czego kto w sercu niema, drugiego rozmilować, same tylko komedje grając. Cale bo była inna, a choć jeszcze czasem błysnęło jej z oczu podawnemu, to się prędko chmurzyło czoło, jakom nigdy przedtem nie widział. Domyslałem się tedy iż ojciec pewnie kędy na zwiady poszedł, alem się już nic nie lękał, bo mię złość porwała i żal srogi żem się dał uwieść. A teraz z obojętnego obejścia widziałem dobrze, iż Kasine dawne umizgi nie do mnie to były, tylko do szlacheckiego klejnotu i do męża.

Tak tedy w godzinę nie spełna czasu, rozwalił się on budynek wielkich nadziei, a patrzałem rychło tylko runie o ziemię i w proch się posypie. Na mojej twarzy wyczytała mądra Kasia co się w duszy działo, a że jeszcze nie pewna była, czy ojciec złą czy dobrą nowinę przyniesie, to się czasami na dodanie mi serca uśmiechnęła, resztę czasu udając głęboko zamyśloną. O! jakże mi się to patrzącemu na to i przenikającemu jej serce, podłe wydało i nikczemne, to rachowanie, pomiarkowanie dziewczyny i niby w handlu jakim targ ostrożny.

Kiedy tak siedzim razem, usłyszę głosy w ulicy, a potem szelest w sieniach, porwała się Kasia i zarumieniła, a tu drzwi otworzą się i wchodzi pan Boim szukając mnie oczyma po komnacie, wiedąc z sobą, jakim zaraz poznał, jednego z dworzan królewskich.

Tylko co weszli, ów zbójca, zawołał wielkim głosem.

— To Stańczyk!

Pan Boim osłupiał na to nazwanie, a Katarzyna za głowę się chwyciła bo wiedzieli że Stańczyk był błazen królewski. Po czem ona Kasia, co takie oczy ku mnie niedawno robiła, podniosła się wrząca z guiewu i zawołała wskazując palcem na drzwi.

— Precz!

— O! jakem to posłyszał, malom nie padł, ale już miłość poszła, a został gniew tylko w sercu, jałem więc śmiejąc się gorzko za czapkę i żegnając rzekłem:

— Bądź zdrowa, błazna kochanko!

Krzyk się stał wielki, a ja uciekłem do zamku. Zemsta to była sroga, bo ów dworzanin zaraz roztrąbił całą historją po mieście, a Kasi zostało do śmierci nazwanie — blazeńskiej kochanki. Dla czego i nie poszła za mąż, aż ją ojciec potem wywiózł do Lwowa, bo tu już dłużej dla ludzkiego gadania mieszkać nie mogli.

Co mi potem w sercu zostało — oto gniew na wszystkie białogłowy i żal wielki, tak że gdybym je był miał w rękę, mordowałbym bez litości, jak one mordują biednych ludzi, zimną krwią, byle tylko męża złapały. Anom odtąd wszystkie je takimi sądził i przeklął, bo w sercu miłości u nich niema ino miłość siebie i swego dobra, a Bóg im na ludzkie utrapienie dał tak sztucznie udawać kochanie, że najstarszego by zwiodły, przymrużając oczka, a cedząc słówka jakby od serca szły. Toć już onej historji mojej dość, powracam do innych.

W październiku jakom rzekł stał się pogrzeb Aleksandra w Wilnie, a Zygmunt mieszkał tu jeszcze prawie do końca roku. Przybyli tu posłowie z Korony, wzywając go na tron Polski, którzy króla w Mielniku na zjeździe z pany senatory Litewskimi zastali, kędy ich łaskawie przyjął i wesela różne a tryumfy czyniono z tego. Między onemi posły było kilku biskupów, i on Jan z Łaska kanclerz, który tyle za Aleksandrowego panowania, dobrego uczynił, jakieśmy już wyżej rzekli.

A tam w Mielniku znówu się odnowiły między pany senatory Litewskimi a kniazem Michajłem Głińskim, one stare zajścia, a nieprzyjaźnie. Korzystając z tego, iż marszałek nie miał u Zygmunta onego zachowania, ani wpływać mógł tak łatwo na niego, Zabrzeźńscy i inni jeli go przed księciem panem co raz to gorzej okazywać, przypominając wszystko, co za

panowania Aleksandrowego czynił i koniecznie dowodząc mu zdrady. Zważali też, że chociaż widomie kniazia nie odpychał, wszakże serca ku niemu nie miał Zygmunt i łacniej innych na niego, niż jego na innych dowodzącego słuchał. Tu kilkakroć potkawszy się z sobą owi nieprzyjaciele, o mało się do oręży nie porywali, gdyż Zabrzeziński nie inaczej tylko zdrajcą zwał kniazia Michajła, a to nawet w obliczności królewskiej, gotując mu się tego dowodzić, a gardło dać jeśliby nie okazał jawnie.

Ale jakoś jeszcze na czas uciszyło się, gdy z Polski posłowie przybyli do Mielnika, a Zygmunt toż z nimi i niektórymi Litewskimi senatory, ruszył się do Krakowa na koronację. Pierwszych dni stycznia 1507. ruszyliśmy z Mielnika ze dworem bardzo licznym do Krakowa, kędy byli z nami posły polskie, nie mało Litwy, a poczet też królewski i senatorskie bardzo świetne w litewskich wszystko arnskich strojach. Wjazd się odbył dnia dwudziestego, a Zygmunt w wielkim tryumfie na zamek wprowadzony, poczem na królestwo pomazany przez arcy-biskupa Gnieźnieńskiego. Jakie tam były wspaniałości i uczty i stroje nie opisuję, spomnę tylko że między Litewskimi, zawsze celował kniaz Michajło, choć tam byli i inni wielcy panowie, Radziwiłł, Chodkiewicz, a on srogi nieprzyjaciel kniaziowy Jan Zabrzeziński. Drugiego dnia po koronacji, wedle starodawnego zwyczaju zasiadł król w rynku od mieszczan przy sięgę przyjmując, a rycerzy niektórych pasując.

Ale to po onych kronikach znajdziesz szeroko, kędy daty a suche liście zbierają, ja tedy do innych spraw Zygmuntowych pójde, a naprzód do onych swarów litewskich. Powiedziałem to wprzód jako Zabrzeziński zadawał zdrady Michałowi kniazin, w obec Zygmunta króla, u którego ucho łaskawe miał. Nastal tedy na niego kniaz, jako na potwarce, z żalobą poszedłszy do króla, prosząc aby ich sądził. Król za się, jako już nie mało o Glińskiego zamachach słyszał, a bał się go, bo mu nie wierzył spełna, zimno na to odpowiedział, dając obn rok pewny, na któryby strony dowody i od-

wody złożyły. Zabrzeziński rok przyjął, a zabierał się zdrady dowodzić, kniaź też udał spokojność, acz jej nie miał, ale go srodze ubodło, że widział już króla zniechęconego i sobie wcale nieprzychylnego. Kręcił się tedy w Krakowie, jako zawsze usiłując przyjaciół jednać, bijąc i zabijając słowy Zabrzezińskich i nieprzyjaciół swych, wynosząc się z swej potęgi, którą miał dla związków i bogactw wielkich a hojności. Zabrzeziński też chodził chwalać się łaską królewską i wołając, iż tu nie z Aleksandrem kniaziowi sprawa, z którego czynił co sam chciał, a obiecując mu w oczy dowieść na roku, jako był zdrajcą podłym, nie raz, ale sto razy, a brakło tylko sposobności, żeby wszystkich pogubił.

Widząc, że tu rzeczy idą nie po jego woli, kniaź Gliński, ujechał z Krakowa gniewny a zafrasowany, udając się do brata Zygmunutowego Władysława króla węgierskiego i czeskiego, u którego przedtem miał zachowanie. Tu pono nie wiele wskórał, acz przywiózł jakieś listy do króla i posły z nim przyjechali wstawiając się od Władysława, aby był z podejrzeń oczyszczony. Pod onym tedy zarzutem zdrady zostawał Gliński wielce frasowny, zbierając swych przyjaciół na Litwie od przypadku. Przyszedł rok, Zabrzeziński nie stanął dowodzić zdrady, a król powolny nieprzyjaciółom kniazia, odroczył sprawę nadal. Gdy się o tem dowiedział Michajło, omal nie wściekł z gniewu, wołając, aby go wnet, ma-li co być sądzono i dłużej pod zarzutem haniebnym, jak pod pręgierzem nie trzymano. Ale i to i listy Władysławowe nie pomogły nic, król folgując Zabrzezińskiemu, dla Glińskiego nie uczynić nie chciał. Pomnę jeszcze, jako w on czas przyleciał do króla na zamek, w ostatniej desperacji, chciano go nie dopuścić, ale prawie drzwi wyłamując wpadł do komnaty. Zygmunt ujrzawszy go z tą furją, ująć chciał, bo też gniew uczuł w sobie, ale kniaź mu drogę zastąpił i zawołał:

— Miłościwy panie, domagam się roku i sprawiedliwości, nie chcecie uciekać przedemną, gdy w imię

Boże proszę was o to. Nie mały już czas włożyli mi jako kajdany na głowę, ową potwarz, pokalali mnie w oczach wszystkich, zbezczęścili, niechajże dowodzą, niech dowodzą, albo niechaj jak psy odszczekują.

— Czas nie po temu — odpowiedział Zygmunt — są inne sprawy pilniejsze, a wasza kniazia przyjdzie z kolei, gdy panowie Zabrzezińscy staną.

— Miłościwy panie — zawołał Głiński — dobrze jest potwarcom, rzuciwszy komu błotem w oczy, kazać mu czekać potem, ale na Boga, ja nie mogę czekać!

— Musicie — odpowiedział zajątrzony Zygmunt — chcecież to nas hospodara waszego przymusić, abym to co wola wasza uczynił?

— Ja nie nie chcę, tylko sprawiedliwości — krzyknął Głiński — a pokażę się li winnym, dam głowę, nie, niech oni dadzą gardło; trwać zaś dłużej pod takim zarzutem godności mej i pocziwej przodków moich książąt ruskich sławie, nie przystało. Miłościwy panie, wołam i nie przestanę wołać sądu i sprawiedliwości bez zwłoki!

— Wieleż razy powtarzać mam — odpowiedział król obrażony zuchwałą mową kniazia — iż nie pora to sądu waszego?

— Nie pora! więc pora mnie inaczej sobie radzić — zawołał w gniewie kniaź — ale pomnij miłościwy panie, abym się o taką rzecz nie pokusił, która tobie i mnie na potem będzie żałosna!

To rzekłszy, na własnem uszy słyszał, pędem poszedł do drzwi i zaraz pojechał. Nie małej też trwogi nabawił wszystkich zuchwalstwem swem i nie bez przyczyny, jak się to okaże. Co się stało podówczas w Litwie i jakie burdy poczynił, słyszałem od ocznych świadków, a co będę opisywał to szczerą prawdą, bo nie mało o tem gadano i ze wszelkiemi szczegóły, które dobrze w pamięci zachowałem.

Głiński jak skoro odjechał, prosto dążył w Litwę do swoich, zemstą a gniewem niepomahowanym pałając; i jak skoro doma przybył, wnet listy do Moskwy przygotowawszy, wiernego sługę z niemi wysłał. Na

które skoro otrzymał odpowiedź od wielkiego kniazia, iż mu we wszystkim co zamierzy pomagać będzie. A tak też i wojska wyprawione niebawem, minawszy Smoleńsko na mil trydzieści w Litwę wszedłszy, plondrować zaczęły. Przeciw którym, jako to masz po innych kronikach, wyszedł Zygmunt przyzwawszy w pomoc Tatary Perekopskie; nie przyszło do bitwy walnej, gdyż moskiewscy ustąpili chroniąc się jej, a nasi też zmęczeni głodem a gorącością do Wilna nazad nadciągali, i Tatarowie z niezem powrócili. Tak się tedy zamachy owe rozeszły 1508.

Król do Krakowa dla spraw koronnych jechał, kędy nabiwszy monety, przez Aleksandra pozostawiane dobra, majątności, czynsze okupował, służebnym też a żołnierzom niepłatnym żołdy pooddawał. Gdy my tu w Krakowie, a kniaź Michajło po Litwie się jął jak szara gęś rządzić. Widząc, że u króla nie nie wskóra, sam też sobie sprawiedliwość zamierzył wyrządzić nad Zabrzezińskim. Jako miał przy sobie zawsze siedemset koni żołnierza, tak też z niemi dopadł do Grodna, gdzie Jan Zabrzeziński marszałek wielki, miał dwór swój pod miastem. Było to jakoś wieczorem, gdy się ku miastu zbliżał w onym poczie i potkał w drodze onę miłośnicę Zabrzezińskiego, o którą im i poszło dawniej. Jechała ona nie wiem zkąd do Grodna, do niego. Zatrzymali ją ludzie a tuż i Gliński nadbieżał, a pojrzawszy i uznawszy iż ona była, zawołał:

— Toć sam Bóg mi nieprzyjaciół w ręce podaje.

Kobieta ujrawszy go na polu omdlała, ale ją ocucili i tuż wszystkim stanąć kazał swoim Gliński, a ją przed siebie prowadzić.

Jął tedy srodze z niej sztydzić, a nawet swoją ręką dał jej policzek

— Mów — zawołał — gdzie jest Zabrzeziński?

— Nie wiem -- odpowiedziała.

— Jechałaś przecie do niego.

— Jechałam do Grodna — rzekła zalekniona niewiasta.

— Mów jak wiele ludzi przy sobie chowa?

— I tego nie wiem, czasem mniej, czasem więcej, a ja ich nie liczyłam.

Jał znowu pytać o inne rzeczy, ale ona się wymawiała, że nic nie wiedziała. Tu widząc, iż nic się nie dowie, rozkazał różeg naciąć w krzakach kniaź i gdy z onemi ludziami przyszli, związać ją, a bić, póki by wszystkiego, o co pytana będzie, nie powiedziała, polecił. Na on czas ulekła się bardzo ona słaba niewiasta i we łzy się rozplywając, pелzła do nóg Glińskiego, obiecując wszystko co wiedziała, rozpowiedzieć.

— Powiedz naprzód — odezwał się — wiele ma ludzi marszałek?

— Kiludziesiąt — odpowiedziała.

— Dobra nasza — rzekł Gliński — nie spodziewa się gości! Dwór czy obronny?

— Jedne wrota kute od miasta, mur nie wysoki.

— Jest wał i fosa?

— Nie ma.

— Kto tam z nim teraz?

— Nie wiem.

Kniaź znowu do różeg, ale kobieta rzuciła mu się do nóg, zaklinając, że nie wiedziała, bo kilka dni nie była.

— Więc i Zabrzezińskiego może nie ma?

Milczała niewiasta.

— Nie wiesz? — spytał groźnie i skazał na sług.

— Wiem że jest.

I tak mu wyśpiewała co tylko chciał wiedzieć, ba i tego się dopytał, co podczas o nim gadano, a tak rozjadłszy się, a kobietę rozkazawszy do drzewa przywiązać, sam chyłkiem nocą, pod on dwór Marszałka pospieszył. Wszystko tam już spało i światła nie było żadnego. Ludzie kniazia wyłamali pierwsze wrota od miasta i rzucili się w dziedziniec. Schlejnitz niejaki Niemiec z Misznij, zausznił kniaziowski, z dwoma drugimi, naprzód się wysworował do dworu, a ostawiwszy do koła ludzi, wpadł wewnątrz do komnat. Obudzony hałasem marszałek porwał się był i siedział w pościeli,

gdy do niego wpadli Schlejnitz z Turczynkiem kniazia i drugimi. Chwycił się widząc ich za szablę, która u głów wisiała, ale mu jej nie dano, bo go zaraz zwlekli w pośrodek izby, i dalej nie czekając, Niemiec ów Turczynowi ściąć marszałka kazał. Wołał on, aby mu chwilę dano pomodlić się, ale Schlejnitz krzyknął:

— Pójdiesz ty i tak do piekła!

Zaczem Turczyn ów, który był sprawny do tego, pochwyciwszy za szyję Zabrzezińskiego, jednym zamachem głowę od karku oddzielił. Tu tedy nie mieszkając, wetknęli ją na długą kopję i wybiegli na podwórzec przeciw Glińskiemu, który to obaczywszy a kazawszy jeszcze poświęcić dla lepszego przekonania, iż nie kto inny był tylko marszałek, zawołał na odwrót do swoich i niosąc jakby znak zwycięzki, tę głowę przed sobą, pociągnął ku Wilnu co prędzej.

Nieśli ją tak cztery mile przed nim, aż do jakiegoś tam jeziorka, w którym pomiarkowawszy się utopić ją rozkazał. A to był początek Glińskiego roboty, żeby naprzód swojej starej zemście dogodzić. I zebrawszy ludu jeszcze więcej, ba do dwóch tysięcy, rozpuścił ich po Litwie, rozpisawszy imiona swych nieprzyjaciół, których zabijać rozkazał bez litości, i wiele ich pod ten czas naginęło. Sam, z resztą swoich ruszył do Nowogródka, gdzie też spodziewał się znaleźć szlachtę, których sobie nieprzyjaciółmi rozumiał, a tam ich zachwyciwszy nie mało znowu pomordował. Takto on człowiek wiele krwi potrzebował, na zaspokojenie swej zemsty więcej ni ocz nie dbając, bo był pewien obrony W. ks. Moskiewskiego. A tu pokazał na co stał, bo których rozumiał przychylnych, jął ich jeszcze wielkimi obietnicami sobie jednać, okazując jako niechybnie całe księstwo litewskie w moc jego popadnie. Przyszedł mu też w pomoc Wasil kniaź, rodzony jego, który i swoich i królewskich zamków nie mało mu poddał. Sroga się ztąd wojna zawzięta, o której już pewnie i po innych kronikach czytać będziesz, przetoć jej nie opisuję.

Dowiedziawszy się król Zygmunt o tem, co zaszło w Litwie, a o srogiej panów i schlachty klęsce, fra-

sował się bardzo bo wielu a mianowicie marszałka Zabrzezińskiego miłował, innych jako pan poddane swe żałował. A tu czasu nie było płakać i lamentować, bo się Litwie bronić, a królowi o wspomózeniu jej myśleć, należało co najrychlej.

Dwór Zygmuntowski onych czasów, cale był odmienny od Olbrachtowego i Aleksandrowego, boć i Zygmunt braci swej nie był podobny. Poźniej się to bardzo też znowu odmieniło, ale o tem potem. Za Olbrachta bywało, acz to ledwie pomnę, ale od ludzi slyszalem wiele, dwór sama młodzież, a rozpasańce składała, która królowi do swawol pomagała, Aleksandrowski też albo był pusty, albo swojemi go książ Gliński obstawiał. I u Aleksandra byle na oko spaniale na resztę nie baczył, to nam barwy dawano wymyślne, a coraz inne, strojono, cacano, a król się temu miłował i ni ocz z resztą nie dbał, choć nieprzyjaciel nas łupił a grosza w skarbie nie było i ludzie nie płatni, a wszystko co miał to pozostawiał. Toż za Olbrachta, wesoło tylko żyli i po wszystkim, król sam nieraz sobie z bratem kardynałem, albo i lepiej od niego jeszcze pozwolił. Tylko co po onej sławnej pod Bukowiną, gdzie mój rodzic był, po takiej klęsce, a utracie niepowetowanej, przybywszy do Krakowa, to biesiadował, weselił sobie ze swyni, tańce wyprawiał. Raz, gadają samotrzeć w nocy na miasto poszedłszy i ceklując sobie po pijanu w ulicy, potkał się też z pijanymi. Ustąp, ustąp, a gdy jeden drugiemu z drogi nie chce, przyszło do zwady i do szabel, tak, że króla któryś omackiem w twarz ranił, aż od tego długo chorował. Już za się podobnych spraw Zygmuntowi nikt nie pokazał. Obyczajów był poważnych, a nie tyle o sobie myślał ile o potrzebach kraju, jako tego dokazał zaraz po koronacji wykupując siła królewszczyzn, Ziemię Spiską, Oświęcim, Proszowice i iunych wiele. Jeśli się zabawiał, to chyba łowy które lubił bardzo, zwłaszcza na srogiego zwierza, co go w skrzyniach przywożono nieraz a psy nań w obliczności jego spuszczano. Kobiety też nie zbyt miłował, ani tak niepomiarowanie

jako Fryderyk, a którą raz miał po woli, o tej nigdy nie zapomniał, ale jej los przystojny uczynił. Tak też było i z Kątryną Słężanką, z której miał syna Janusza, co go chowali na królewskim dworze, jako królewskie dziecię i nauczycieli mu dodano gotując do stanu duchownego. A tu rozpowiem, jako król potem onę Kątrynę, która była bardzo czudna, wydawał za mąż, bo to nie łatwie przyszło dla sromoty jaka była wziąć nałożnicę królewską, i przetoż jej nikt nie chciał, choć Zygmunt wiele uczynić obiecował, bo mu ona srodze płaczem dokuczała wystawując, jako ją zgubił na wszem, iż losu mieć nie mogła. A był na dworze królewskim kasztelan naówczas Biecki (coś to koło roku 1508 jeśli pomnę dobrze) Jędrzej z Kościelca, uczciwego za się rodu i herbu starodawnego, możnej nawet familji człowiek, tylko jako mówiono, bardzo chciwy a wzniesienia żądny.

Owa za się Kątryna Telniczówna szukała tylko kogo by sobie ułowiła i rzuciła okiem na niego. A że była kobieta gładka i zręczna, jęła go podchodzić, jęła króla głaskać aby mu co obiecywał, spodziewając się żeby z nią miał się żenić. On zaś chociaż był bardzo dobrego rodu człek i możny, a mógł się bez tego spodziewać wiele, dał się uwieść kobiecie, jako to pospolicie bywa. A działo się to wszystko w takiej tajemnicy, że my dworacy cośmy ustawicznie patrzali na osoby otaczające króla, tegośmy przecie nie postrzegli aż bardzo późno. Czyniono zaś było tajemnie dla tego, aby familia pana Jędrzeja z Kościelca, którą miał bardzo dumną, przeszkód nie robiła, a nie chciała go od Kątryny odstępczać, coby niechybnie się stało, gdyby bracia a powinowaci jego o tem wiedzieli.

A owa zręczna kobieta, jak mu jęła głowę bechtać łaski królewskiem, jak mu się jęła uśmiechać i wielką miłość udawać, co jej łatwie przyszło, bo była piękna i rozumna, choć nie dobrych obyczajów kobieta, jak go jęła podchodzić, mamić, łapać, tak też dwiema razem złowiła go wędami, co dość było jednej. A naprzód ułowiła go wdzięki, które

wprzód królowi była dobrą ceną sprzedała, powtórę ułowiła go obietnicami wielkimi. Widując ją codzien- nie nie potrafił się temu oprzeć pan Biecki, długo się ze swoim sumieniem rachował i wahał, nareszcie rzucił się też, by w przepaść z zamkniętymi oczyma. Tu gdy już pewną była jego rezolucji Kattryna Telniczówna, dopieroż do króla w prośby; a prawdę rzekłszy Zygmunt ją bardzo kochał i więcej nad wszystkie w życiu kobiety, jakie miał. Alboż co odmówić można białogłowie, którą się kocha? Owoż i król na prośby jej, wezwawszy do siebie kasztelana, spytał go tajemnie naprzód, czyli by miał chęć żenienia się z Kattryną. Na co odpowiedział kasztelan, iż jeszcze nie jest pewien, ale myśl tę miał. Tu dopiero król otworzył mu się.

— Wiesz WM. rzekł, bo to nikomu nie tajno, iż Kattryna Telniczówna była moją miłośnicą, a kochałem ją i kocham wielką miłością. Ludzie też ją ogadują ztąd, i chciałyby poszedłszy uczciwie za męża, żyć dalej jak Bóg przykazał. Owoż, gdyby ją kto wziął może się spodziewać, iż mu ten wstyd, jeśli by wstyd miał, so- wicie nagrodzę. Ano, dodał król, żenią się ludzie i gorzej a przecie nikt nie na to; bo choć Telni- czówna zawiniła może, to z miłości wielkiej ku je- dnemu, a nikt nie powie, aby na niej inna jaka plama była, by najmniejsza.

Tu Zygmunt złote góry jał obiecywać kasztelanowi, dając na to słowo swoje królewskie, iż ich miał obsy- pać, czem by chcieli, tak ona kobieta miała jeszcze króla w ręku. Boć i potem różnie różni gadali, a to pe- wna, że poszedłszy za męża, podjeżdżała często do Kra- kowa, widując się potajemnie z królem, który i dziećmi jej potem bardzo się opiekował, jakby swemi. Owoż ka- sztelan który tylko braci swej lękał się i innych kre- wnych, po owych obietnicach wielkich, już jał się umawiać z Kattryną o wesele. Uradzono tedy, aby je po cicheńku odbyć, tamże na zamku, co i król radził. Tak się i stało, ale szydła w worku nie utaić, ledwie się to stało, cały Kraków wiedział o tem, po- szła wieść jako strzała, że król miłośnicę swą wydał,

za pana Jędrzeja z Kościelca. Dowiedzieli się i bracia jego, których gniew okrutny opanował, iż taką obelgę imieniowi ich wyrządził. Zebrał się senat wkrótce coś potem, w którym i dwaj bracia pana Jędrzeja zasiadali, był tam i król. Jak skoro wszedł na salę pan Jędrzej, postrzegli go bracia, że swe miejsce zająć miał, tak obadwa porwali się z swych miejsc i starszy zawołał:

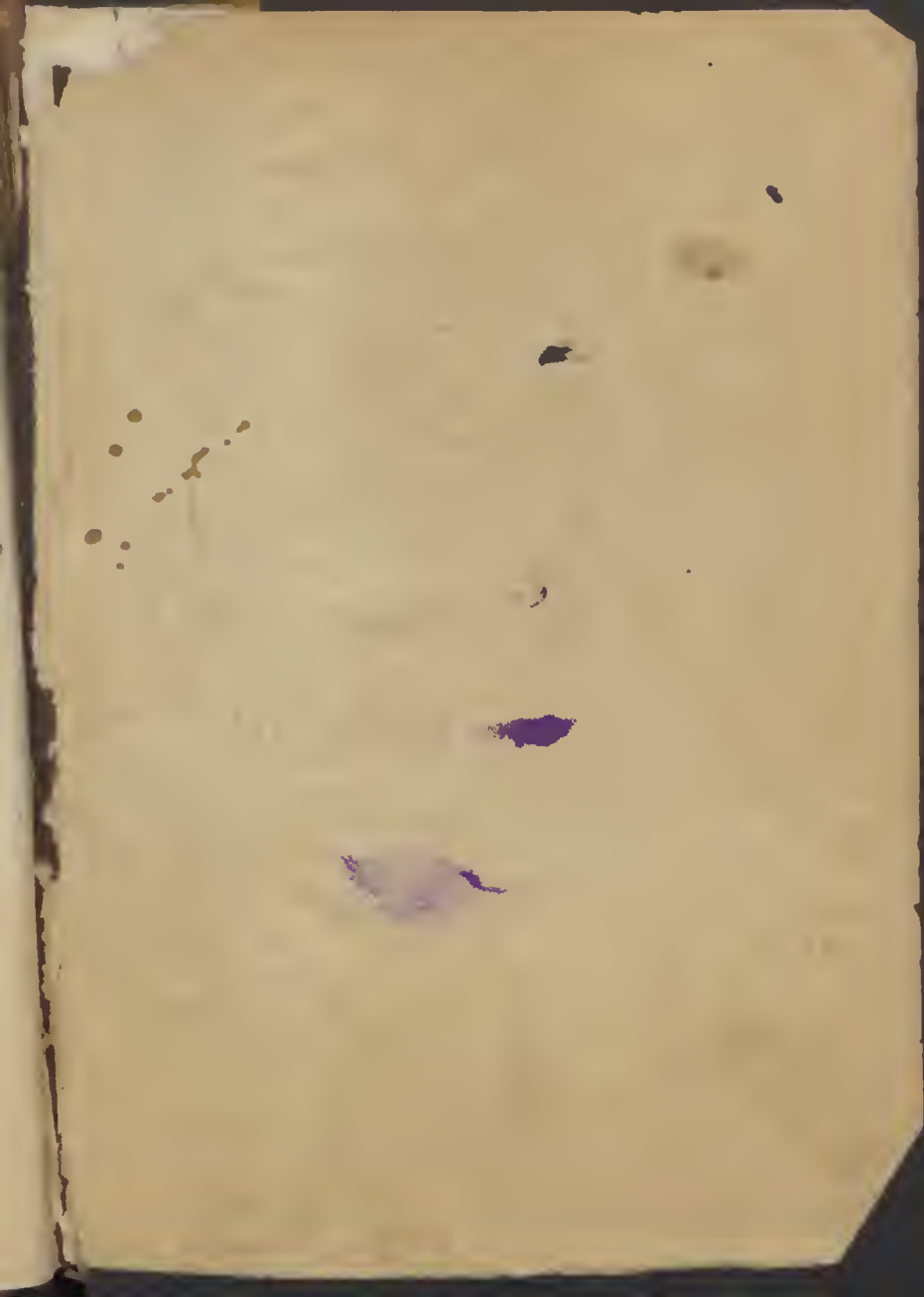
— Zarzekamy się, jako siedzieć nie będziemy, razem z bratem naszym, który imię i pocziwą sławę przodków naszych splamił, zaślubiając nierządnicę królewską. To powiedziawszy dwaj bracia wyszli natychmiast z izby; a Jędrzej został blady i w pół tylko żywy. Słówka nie rzekł, oczy spuścił i tak końca dosiedział, ale więcej do senatu potem się nie pokazał, a familja cale się go zaparła i herby mu na domu jego pomalowane łamać sługom kazali i różne despekta a obelgi wyrządzali. Czem tak się gryzł, pan Jędrzej, iż wpadł w melancholję, zachorzał i do siebie stał się niepodobnym. Ale król słowa jako był obiecał dotrzymał wcale, bo go uczynił Podskar bim koronnym i dał mu trzymać żupy solne, z których dochód był nie mały, a też starostwa Spiskie, Oświęcimskie, Zatorskie, Sądeckie, Bydgoskie. To go jednak, acz bardzo wyniół się i pobogaciał, nie pocieszyło, po utracie pocziwej sławy. Urodził mu się też i synaczek którego bardzo miłował, potem córka Beata, co to ją król opiekował się właśnie gdyby własną, boć i różnie tam o tem gadali. Żył też kilka lat w tem utrapieniu podskarbi, ślódząc zebranemi skarby, ponoszoną od swoich sromotę; ale wesołości i humoru nigdy nie odzyskał, a zdrowia utraconego. Toż potem gorsze jeszcze utrapienia go dotknęły, bo naprzód synaczek jedyny którego wielmi kochał, umarł, po którym płakał a rozpaczał bardzo, potem go obiecana przez króla kasztelanja Krakowska ominęła; od czego mu życie cale zbrzydło, gdyż jeszcze i owa kobieta dopiawszy swego dojadła, a oczy wypiekała. To już Podskarbi z onej

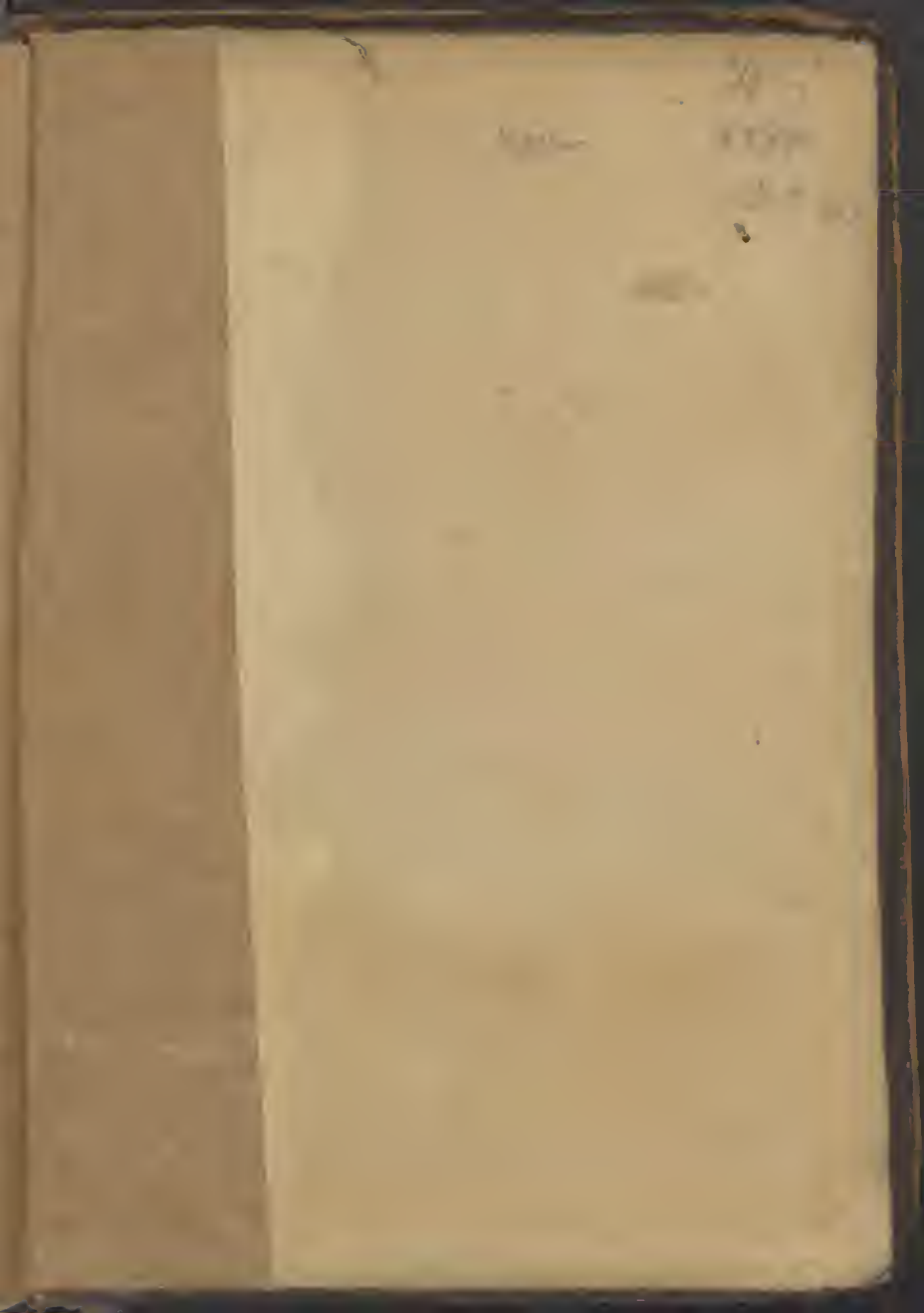
melancholji szukał śmierci jako mógł i kiedy się pożar zajął w żupach solnych, to wskoczył w ogień, wrzekomo aby ratował, ale istnie z rozpaczy. A przecież go tu śmierć nie chciała i wyszedł cało, tylko ogień z drugim mieszczaninem krakowskim, co tam był ugasili z wielkiem swoim niebezpieczeństwem. Potem za się gryząc się dalej a dalej, bo mu coś król łask umykał, z żalu umarł. Została po nim córka jedyna, którą król wydał, za Illię księcia Ostrońskiego, bardzo przystojne wesele sprawiwszy, jako o tem niżej napiszę.

A tu już onych lat królowi wiele czasu wojny brały, o których pisać nie będę, bo aczem gdzie i był z dworem a panem, ale o tem dostatecznie najdziesz u kronikarzy, którzy owe sławne bitwy Zygmuntove szeroko opisali.

K O N I E C.







Biblioteka Raczyńskich

JIK 1481



JIK1481